

Leonid Andrejew

Gubernator

I

Minęło już piętnaście dni od owych wypadków, ale on wciąż myślał o nich, jakby czas stracił władzę nad pamięcią i rzeczami albo zupełnie stanął jak zepsuty zegarek. O czymkolwiek zaczynał myśleć — o rzeczach najbardziej obcych, najbardziej odległych — już po paru minutach przerażona myśl stawała przed owymi wypadkami i bezsilnie uderzała o nie jak o mur więzienny, wysoki,

głuchy, martwy. Jakimiż dziwnymi drogami szła ta myśl: zacznie myśleć o swej dawnej podróży do Włoch, pełnej słońca,

młodości i śpiewu, przypomni sobie jakiegoś włoskiego żebraka — i od razu stanie mu przed oczami tłum robotników, strzały, zapach prochu, krew, Albo powieje zapach perfum — i natychmiast przypomni sobie swoją chusteczkę do nosa, która także była naperfumowana, a którą dał znak, by zaczęto strzelać. Z początku ta więź między wyobrażeniami była logiczna i zrozumiała i dlatego niezbyt niepokojąca, aczkolwiek dokuczliwa; ale wkrótce stało się tak, że wszystko zaczynało mu przypominać to wydarzenie — niespodziewanie i nedorzeczenie, i dlatego szczególnie boleśnie, jak cios zza węgła. Roześmieje się, usłyszy swój generalski śmiech jakby ze strony i nagle z oszałamiającą wyrazistością zobaczy któregoś z zabitych — chociaż wtedy ani

myślał się śmiać, i zresztą nikt się nie śmiał. Usłyszy świegot jaskółek w wieczornym niebie czy też spojrzy na krzesło, najzwyczajniejsze dębowe krzesło, wyciągnie rękę po chleb, wszystko to wywołuje wciąż ten sam

niegasnący obraz: machnięcie białą chusteczką, salwy, krew. Jakby mieszkał w pokoju o tysiącu drzwiach, które próbowałyby otworzyć i za każdymi napotykałby wciąż ten sam nieruchomy obraz: machnięcie białą chustką, wystrzały, krew.

Sam przez się fakt był bardzo prosty, chociaż smutny: robotnicy z podmiejskiej fabryki, strajkujący już od trzech tygodni, przyszli do niego parotysięczną masą, z żonami, starcami i dziećmi, stawiając żądania, którym on, jako gubernator, nie mógł zadośćuczynić, i zachowali się niezwykle wyzywająco i zuchwale: krzyczeli, lżyli osoby pełniące obowiązki służbowe, a jedna z kobiet o wyglądzie wariatki szarpała go za rękaw z taką siłą, że pękł mu szew na ramieniu. Potem, kiedy ludzie z jego świty wciągnęli go na balkon, wciąż jeszcze chciał się z tłumem dogadać i uspokoić go. Robotnicy zaczęli rzucać kamieniami, rozbili kilka szyb w domu gubernatorskim i zranili policmajstra. Wtedy dopiero rozgniewał się i machnął chustką. Tłum był tak podniecony, że salwę trzeba było powtórzyć i padło dużo zabitych — czterdziestu siedmiu, wśród nich dziewięć kobiet i troje dzieci, dlaczegoś same dziewczynki. Rannych było jeszcze więcej. Wbrew perswazjom otoczenia, ulegając jakiejś dziwnej, niepohamowanej i dręczącej ciekawości, pojechał obejrzeć zabitych, złożonych w szopie strażackiej trzeciego cyrkułu. Oczywiście, nie trzeba było jeździć; ale tak jak człowiek, który zbyt szybko, nieostrożnie i niepotrzebnie wystrzelił, czuł potrzebę dopędzenia kuli i schwycenia jej rękami. Zdawało mu się, że jeżeli spojrzy na zabitych, to coś zmieni się na lepsze.

W długiej szopie było ciemno i zimno; pod długim szarym brezentem leżeli zabici uszeregowani w dwa rzędy, niby na jakiejś niezwyklej wystawie: zapewne przygotowano się na przyjazd gubernatora i ułożono trupy w najlepszym porządku, ramię przy ramieniu, twarzami do góry. Brezent zakrywał tylko

głowę i górną część tułowia, nogi, jakby dla ułatwienia porachowania, sterczały na zewnątrz — nieruchome nogi, jedne w zdeptanych, podartych butach i trzewikach, inne bose i brudne, dziwnie bielejące poprzez brud i opaleniznę. Dzieci i kobiety

ułożono osobno, na boku; i w tym także widoczna była chęć udostępnienia zwłok do jak najlepszego obejrzenia i policzenia. Było cicho — zbyt cicho jak na takie mnóstwo ludzi — i żywi, którzy weszli, nie zdołali naruszyć tej ciszy. Za cienką przegrodką z desek krzątał się koło konia stajenny; widocznie i on nie podejrzewał, że za ścianą jest ktoś prócz zmarłych, gdyż przemawiał do konia łagodnie i serdecznie:

— Prr, diable... stój, kiedy ci mówią! Gubernator spojrział na szereg nóg niknących w ciemności i powściągliwym basem, prawie szeptem powiedział:

— Jednak sporo.

Spoza jego pleców wysunął się pomocnik prystawa, bardzo młody, o bezwąsej, wągrowatej twarzy, i salutując, głośno zameldował:

— Trzydziestu pięciu mężczyzn, dziewięć kobiet i troje dzieci, wasza ekscelencjo!

Gubernator gniewnie zmarszczył się i pomocnik prystawa, salutując, znowu znikł za jego plecami. Chciałby zwrócić uwagę gubernatora na starannie zamiecioną i z lekka przysypaną piaskiem dróżkę między trupami, ale gubernator tego nie spostrzegł, chociaż uważnie patrzył w dół.

— Dzieci troje?

— Troje, wasza ekscelencjo. Czy mam zdjąć brezent? Gubernator milczał.

— Tu są różne osobistości, wasza ekscelencjo — z szacunkiem nastawa zastępca prystawa i biorąc milczenie za zgodę nagle przeszedł na głośny szept: — Iwanow, Sidorczuk, żywo, bierzcie za tamten koniec, no!

Z cichym szelestem zsunął się brudnoszary brezent i jedna po drugiej wypłynęły białe plamy twarzy brodatych i starych, młodych i bezbrodych, różnych, lecz związanych z sobą tym strasznym podobieństwem, jakie nadaje śmierć. Ran i krwi prawie nie było widać. Pozostały gdzieś pod ubraniem i tylko u jednego oko wybite kulą nienaturalnie i głęboko czerniało i płakało czymś czarnym, podobnym w ciemności do dziegiu. Większość patrzyła zupełnie tym samym białym wzrokiem; niektórzy tak samo jednakowo marszczyli się, a ktoś osłaniał ręką twarz jakby przed rażącym światłem. Zastępca prystawa spojrział z ubolewaniem na nieboszczyka naruszającego porządek. Gubernator wiedział na pewno, że właśnie te twarze były dziś w tłumie, w najbliższych szeregach i na pewno patrzył na niektóre z nich, kiedy z nimi rozmawiał — teraz jednak żadnej nie mógł poznać. To nowe i wspólne, nadane im przez śmierć, czyniło je całkiem osobliwymi. Leżeli w martwym bezruchu, przyklepnięci do ziemi, jak figury gipsowe, które mają jeden bok ścięty płasko dla równowagi; i w ten bezwład nie wierzyło się jak w oszustwo. Milczeli — i nie wierzyło się także w to milczenie, jak i w bezwład: tak wyczekująco uważny mieli wyraz, że nawet nie wypadało rozmawiać w ich obecności. Gdyby nagle skamieniało całe miasto wraz ze wszystkimi ludźmi, którzy idą lub jadą, zatrzymało się słońce, zamarły liście, i wszystko znieruchomiało — zapewne miałyby taki sam dziwny wyraz niezakończonego dążenia, uważnego wyczekiwania i zagadkowej do czegoś gotowości.

— Ośmielę się zapytać, czy wasza ekscelencja rozkaże zamówić trumny, czy też do wspólnego grobu? — głośno i

niedomyślnie spytał zastępca prystawa. Ważkość wydarzenia i popłoch dopuszczały, jego zdaniem, pewną zabarwioną szacunkiem familiarność. A przy tym był młody.

— Jaki wspólny grób? — w roztargnieniu spytał gubernator.

— To, wasza ekscelencjo, kopie się taką dużą jamę... Gubernator ostro odwrócił się i poszedł ku wyjściu.

Kiedy wsiadał do powozu, słyszał jeszcze głośne skrzypienie zardzewiałych zawiasów; zamykano martwych.

Nazajutrz rano, gnany wciąż tą samą dręczącą ciekawością i chęcią przedłużenia, niedopuszczenia, aby stało się i zakończyło to, co się już dokonało i skończyło, odwiedził

rannych w miejskim szpitalu. Martwi patrzyli na niego, ale od tych nie mógł się doczekać spojrzenia; dopiero w uporze, z jakim odwracali od niego wzrok, poczuł nieodwołalność tego, co się stało. Skończone. Coś ogromnego zostało skończone i więcej nie ma po co i nie ma dokąd wyciągać rąk.

Właśnie od tej chwili jakby stanął dla niego czas i nastąpiło to, dla czego nie mógł znaleźć nazwy i wytłumaczenia. To nie była skrucha — uważał, że miał rację; nie była też litość — łagodne i delikatne uczucie, które powoduje łzy i odziewa serce miękką i ciepłą zasłoną. Spokojnie, jak o figurach z prasowanego papieru, myślał o zabitych, nawet o dzieciach; wydawały mu się

połamanymi lalkami i nie mógł współczuć ich bólowi i cierpieniu. Ale nie mógł o nich nie myśleć. W dalszym ciągu widział je jasno — te figurynki z papieru, te połamane lalki — i była w tym straszna zagadka, coś podobnego do czarów, o których opowiadają niańki. Od tego wydarzenia minęło dla wszystkich cztery- pięć-siedem dni, lecz dla niego nie upłynęła nawet godzina i wciąż jest tam, wśród tych strzałów, w tym machnięciu białą chustką, z uczuciem, że coś bezpowrotnie się dokonuje — coś bezpowrotnie dokonało.

Jest przekonany, że uspokoiłby się prędko i zapomniał o tym, o czym nie ma sensu pamiętać i myśleć, gdyby jego otoczenie mniej zwracało na niego uwagi. Ale w ich sposobie zwracania się do niego, w ich spojrzeniach i gestach, w słowach pełnych szacunku i współczucia, kierowanych jakby do nieuleczalnie chorego, brzmi całkowite przekonanie, że on myśli, że nie może nie myśleć o tym, co się stało. Policmajster melduje nazajutrz uspokajająco, że jeszcze dwóch, trzech rannych wyzdrowiało i opuściło szpital. Żona, Maria Pietrowna, każdego ranka dotyka ustami jego głowy sprawdzając, czy nie jest gorąca, jakby był dzieckiem, a zabici — to jakieś zielsko, którego się objadł. Co za bzdura! A w tydzień po wypadkach przyjechał z wizytą sam przewielebny Misail i po pierwszych zdaniach stało się zrozumiałe, że troszczy się o to samo, co wszyscy, i chce uspokoić chrześcijańskie sumienie generała. Robotników nazwał złoczyńcami, jego — dawcą pokoju, i — chytrus! — nie przytoczył ani jednego

wyświechtanego i zwietrzałego tekstu, dobrze wiedząc, że gubernator nie jest zbyt wielkim amatorem popowskiego krasomówstwa. Wstrętny i marny wydał mu się ten starzec, bezcelowo kłamiący wobec swego Boga.

Podczas rozmowy archirej miał zwyczaj przysuwać do rozmówcy ucho. Zaczerwieniwszy się z gniewu — sam czuł żar w swoich oczach — gubernator złożył usta w rurkę i głośno zatrąbił w pochylone ku niemu anemiczne, miękkie ucho, pokryte siwym puszkciem.

— Złoczyńcy, owszem, ale ja, wasza przewielebność, gdybym był na waszym miejscu, to bym odprawił nabożeństwo żałobne za zabitych!

Archirej odsunął ucho, rozłożył nad brzuchem suche ręce, podobne do gęsich łap, i, pochylając głowę, łagodnie powiedział:

— Każde stanowisko ma swe ciernie. Ja na przykład na pańskim miejscu, wasza ekscelencjo, po prostu bym nie strzelał, żeby nie trudzić duchowieństwa nabożeństwami. Ale cóż robić: złoczyńcy!

Potem dobrotliwie udzielił mu błogosławieństwa i szeleszcząc jedwabiami popłynął ku wyjściu. Wyglądał tak, jakby kłaniał się wszystkiemu, obok czego przechodził, i wszystko po drodze błogosławił. W przedpokoju długo i troskliwie szamotał się z głębokimi jak okręty kaloszami i wierzchnim odzieniem. Odwracał ucho to w prawo, to w lewo. Gubernatorowi, który ze wstrętem, lecz z konieczności uprzejmie pomagał mu się odziać, powtarzał przykonywająco łagodnie:

— Niech się wasza ekscelencja nie fatyguje, nie fatyguje!

Wynikało znów z tego, że gubernator jest nieuleczalnie chorym człowiekiem, któremu szkodzi każdy wysiłek.

Tegoż dnia przyjechał z Petersburga na tygodniowy urlop syn, oficer, i chociaż nie nadawał żadnego znaczenia swej niezwyklej wizycie, był żartobliwy i wesoły, pomimo to wyczuwało się, iż ściągnęła go ta sama niezrozumiała troska o gubernatora. O wydarzeniu odezwał się bardzo lekko i powiedział, że w Petersburgu są zachwyceni męstwem i nieustępliwością Piotra Iljicza; niemniej nalegał, by zażądał setki kozaków i w ogóle zastosował środki ostrożności.

— Jakie środki? — zdziwił się ponuro gubernator. Ale sensownej odpowiedzi nie otrzymał. Tym bardziej dziwna była ta troskliwość, że w mieście od tego dnia zapanował całkowity spokój. Robotnicy od razu przystąpili do pracy. Minął spokojnie i pogrzeb, chociaż policmajster czegoś się obawiał i trzymał całą policję w pogotowiu. Wreszcie z Petersburga na swój uczciwy raport o wydarzeniach otrzymał pochlebną aprobatę wysoko postawionej osobistości — zdawało się, że na tym powinno wszystko się zakończyć i stać się przeszłością. Ale nie stawało się przeszłością. Jakby wyrwawszy się spod władzy czasu i śmierci, nieruchomo tkwiło w mózgu — ten trup minionych wydarzeń, pozbawiony pogrzebu. Co wieczór uparcie zakopuje go do mogiły; mija noc, nadchodzi ranek — i znowu zjawia się przed nim, przesłaniając świat, wszystko sobą zaczynając i kończąc, nieruchomo stoi skamieniały, wyryty obraz: machnięcie białą chustką, strzały, krew.

II

Gubernator dawno już skończył przyjmowanie interesantów. Ma teraz jechać do swojej willi i czeka na urzędnika do zleceń specjalnych, który pojechał po jakieś zakupy dla gubernatorowej. Siedzi w gabinecie nad papierami, ale nie pracuje, lecz myśli. Potem wstaje i, wsunawszy ręce do kieszeni czarnych z czerwonymi lampasami spodni, z odrzuconą w tył siwą głową, chodzi po pokoju dużymi, twardymi, wojskowymi krokami. Zatrzymuje się przy oknie i, z lekka rozstawiwszy duże, grube palce, dobitnie i głośno pyta:

— No, i o co chodzi?

Czuje przy tym, że dopóki rozmyślał, był sobie zwykłym człowiekiem, jak każdy, Piotrem Iljiczem, ale po pierwszym dźwięku głosu i po tym geście od razu znowu stał się gubernatorem, generał-majorem i jego ekscelencją. Robi mu się przykro. Myśli rozpraszają się i uciekają. Ostro, po gubernatorsku wstrząsnawszy lewym epoletem, odchodzi od okna i znowu przemierza pokój. „Tak chodzą gubernatorzy” — myśli bez sensu w rytm dużych i twardych kroków i znowu siada starając się nie poruszać, żeby jakimś nieostrożnym ruchem nie wyzwolić w sobie czegoś gubernatorskiego. Dzwoni.

— Nie wrócił?

— Nie, wasza ekscelencjo.

I gdy pochylony z respektem lokaj pieczołowicie wymienia jego tytuł, nagle sobie przypomina: „Ach tak, przecież tam są wybite szyby, a ja jeszcze nie widziałem. Dotychczas nie widziałem.”

— Jak wróci, to zaraz mi powiedz, będę w salonie. Ramy w wysokich oknach na staroświecką modłę były podzielone na osiem części, co nadawało im charakter nudnej urzędowości, podobieństwo do sądu dla sierot lub kancelarii więziennej. W trzech oknach, znajdujących się najbliżej balkonu, wstawiono nowe szyby, ale wyglądały brudno, gdyż zachowały mączyste ślady dłoni i palców. Widocznie nikomu z licznej a leniwej służby nie przyszło do głowy, że należy je umyć, że należy zniszczyć wszelkie ślady tego, co się wydarzyło. Zawsze jest tak: jak im się powie — to zrobią, a jak się nie powie, to sami nigdy palcem nie kiwną.

— Macie dziś jeszcze umyć! Co za niedbalstwo!

— Słucham, wasza ekscelencjo.

Zachciało mu się wyjść na balkon, ale nie wypadało ściągać na siebie uwagi przechodniów; zaczął więc przez mętne szyby oglądać plac, na którym wtedy szalał tłum, pękały strzały i czterdziestu siedmiu niespokojnych ludzi przekształciło się w spokojne trupy. Leżą pokotem, noga przy nodze, ramię przy ramieniu — jak na jakiejś rewii, na którą patrzy się z dołu.

Spokój. Przed samym oknem stoi topola z obdartą i postrzępioną korą, już zabarwiona jesienią, a za nią, spokojny i senny, spoczywa w słońcu plac. Prawie po nim nie jeżdżono; okrągłe kamyczki leżały równo jak paciorki, a tu i ówdzie przezierała trawka, gęstniejąc w koleinach i w rowie. Bezludny, głuchy, nieco sielankowy wydał mu się plac; być może dlatego, że patrzył nań przez mętne i brudne szyby, wszystko wydawało mu się nudne, bezsensowne, znużone tępą, beznadziejną nudą. Chociaż do nocy było daleko, zarówno obdarta topola, jak i jednostajne kamyczki, po których nikt nie jeździł, zdawały się błagać noc, by nadeszła rychlej i zgasiła swym mrokiem ich niepotrzebne życie.

— Nie przyjechał?

— Nie, wasza ekscelencjo.

— Jak tylko przyjedzie, proś do mnie.

Widocznie salon tapetowano przy poprzednim gubernatorze lub może jeszcze wcześniej — tak brudne i zakopcone były drogie, wytłaczane tapety. Od miedzianych wentylatorów i zamaskowanego tapetami pieca ciągnęły się czarnożółte smugi, jak z niechlujnych, starczych ust. W zimie, kiedy było dużo ludzi, w oświetleniu wieczornym nie dostrzegało się tego, lecz teraz kłuło w oczy swym pretensjonalnym ubóstwem i irytowało. A tu obraz: jakiś włoski, księżycowy pejzaż; wisi krzywo i nikt tego nie widzi. Chyba zawsze tak wisiał i za poprzedniego gubernatora, i za tego, który był przed nim. Meble także są kosztowne, ale wysiedziane, wytarte, przesycone kurzem — w ogóle wszystko wygląda na pokój w drogim hotelu, gdzie sam gospodarz dawno zmarł na apopleksję, a interes kontynuują niechlujni, wiecznie skłócenii z sobą spadkobiercy. I nic tu nie było osobistego: nawet album z fotografiami obcy, rządowy czy też przez kogoś zapomniany: zamiast twarzy przyjaciół i bliskich — widoki miasta, seminarium i sąd okręgowy, jakichś czterech nieznanomych urzędników: dwóch siedzi, a dwóch stoi nad nimi; jakiś wypłowiwały archirej — i okrągła dziura aż do samej okładki.

— Co za obrzydliwość! — głośno powiedział gubernator i ze wstrętem rzucił album.

Oglądał zdjęcia stojąc, teraz odwrócił się na obcasach, potrząsnął epoletem i gniewnie zaczął przechadzać się prostymi, twardymi krokami: „tak chodzą gubernatorowie, tak chodzą gubernatorowie”.

Tak samo chodził po tym skarbowym mieszkaniu i poprzedni gubernator, i ten, co był przed nim, i inni, nieznanymi. Skądś się zjawiali, stawiali twarde i proste kroki, a nad nimi wisiał przekrzywiony włoski pejzaż; urządzali przyjęcia, nawet tańce, a potem gdzieś znikali. Może także do kogoś strzelali — coś w tym rodzaju zaszło za trzeciego z kolei jego poprzednika.

Przez bezludny plac przeszedł malarz usmarowany farbami, z wiadrem i pędzlem — i znowu pusto. Z obdartej topoli nagle

oderwał się żółty, dziurawy liść: krążąc spływał w dół — i od razu zakreśliło się jak wicher w głowie: machnięcie białą chustką, strzały, krew. Wypływają zbyteczne szczegóły: jak przygotowywał chustkę do dania sygnału. Wyjął ją zawczasu z kieszeni i, ścisnąwszy w mały, twardy kłębuszek, trzymał w prawej ręce; potem ostrożnie rozprostował i szybko machnął nią, ale nie w górę, a naprzód, jakby coś rzucał. Jakby rzucał kule. I oto przekroczył przez coś, przez jakiś wysoki, niewidoczny próg, i żelazne drzwi z głośnym skrzypieniem żelaznych zawiasów zatrzasnęły się z tyłu. Nie ma powrotu.

— Ach, to pan, Lew Andrejewicz! Nareszcie się pana doczekałem.

— Proszę o wybaczenie, Piotrze Iljiczu, ale w tej paskudnej mieścinie nic nie można dostać.

— No, jedziemy, jedziemy. Ale, proszę posłuchać! — gubernator zatrzymał się i z irytacją składając usta w ciup zaczął mówić: — Dlaczego we wszystkich naszych urzędach, takie brudy? Chociażby nasza kancelaria. Albo też, byłem kiedyś w zarządzie żandarmerii — coś okropnego! Przecież to karczma, stajnia! Ludzie siedzą w czystych mundurach, a śmieci dookoła na arszyn.

— Pieniądzy brak.

— Bzdura, wykręty! A to — gubernator szeroko zakreślił ręką koło. — Proszę spojrzeć, co to jest? Przecież to obrzydliwość!

— Piotrze Iljiczu, któż panu przeszkadza przerobić wszystko po swojemu? Tyle razy proponowałem Marii Pietrownie i jej ekscelencja całkowicie podziela...

Już idąc gubernator rzucił:

— Nie warto.

Urzędnik ze współczuciem spojrział na jego szerokie plecy, żylasty kark, dwoma kolumnkami podpierający czaszkę, i nadając głosowi beztroski ton, powiedział:

— Ale, właśnie, spotkałem teraz Sandacza. Powiada, że wczoraj opuścił szpital ostatni ranny. Najciężej ranny; prawie nie było nadziei, że wyzdrowieje. Przedziwnie żywotni ludzie! Sandaczem w otoczeniu gubernatora nazywano policmajstra z powodu jego wytrzeszczonych, bezbarwnych oczu, wysokiego wzrostu i wąskich, rybich pleców.

Gubernator nie odpowiedział. Na podjeździe od razu ogarnęła go jesienna świeżość powietrza i ciepło słoneczne — tak jak gdyby istniały oddzielnie i świeżość, i ciepło i odczuwałoby się je osobno. Niebo także było miłe: delikatne, dalekie, niespodziewane i cudownie niebieskie. Dobrze teraz na lotnisku!

Siedział już w powozie, usuwając się, by zrobić miejsce wsiadającemu z lewej strony urzędnikowi, gdy obok podjazdu przeszedł jakiś zgarbiony człowiek. Zdejmując w ukłonie czapkę zasłonił łokciem twarz i gubernator zobaczył tylko jego kędzierzawy jasny kark i opaloną, młodą szyję. Zauważył, że stąpa ostrożnie i cicho jak bosy. Stąpa, garbi się i chowa się w siebie, a jego plecy jakby patrzyły w tył. „Co za nieprzyjemny i dziwny człowiek!” — pomyślał gubernator. To samo widocznie pomyśleli i dwaj jegomoście pośpiesznie wsiadający do dorożki stojącej przed powozem: nawykłym i zgodnym ruchem zajrzeli przechodniowi w twarz, nic w niej nie znaleźli podejrzanego i popędzili przed gubernatorem. Dorożka ich była na gumach, zaprzężona w kłusaka, koła podskakiwały i pudło kołysało się, siedzieli obaj pochyleni do przodu dla większej szybkości i wkrótce odjechali daleko, żeby nie wznosić, kurzu przed gubernatorem.

— Kim są ci dwaj? — spytał gubernator urzędnika patrząc na niego podejrzliwie spode łba. Urzędnik obojętnie odrzekł:

— Tajniacy.

— A po co? — tak samo krótko spytał gubernator.

— Nie wiem — uchylił się Lew Andrejewicz. — Sandacz się wciąż troszczy.

Przy zakręcie w ulicę Szlachecką błysnęła w słońcu lakierem butów i zuchowato zasalutował bezwąsy zastępca przystawa, ten sam, co demonstrował trupy, a kiedy przejeżdżali koło cyrkułu, z otwartej bramy wypadli konno dwaj strażnicy i głośno zatętniły kopyta po kurzu. Twarze mieli pełne gotowości i patrzyli uważnie, nie odrywając oczu, w plecy gubernatora. Urzędnik udał, że ich nie widzi, lecz gubernator ponuro spojrział na urzędnika i zamyślił się, opierając na kolanach ręce w białych rękawiczkach.

Droga do willi biegła krańcami miasta przez ulicę Kanatną, gdzie w na pół rozwalonych lepiankach a częściowo w jednopiętrowych, murowanych domach koszarowego typu mieszkali fabryczni robotnicy z rodzinami i wszelka biedota miejska. Gubernator zapragnął ukłonić się komuś życzliwie, ale ulica była pusta jak w nocy i nawet dzieci nie było widać.

Jakiś chłopak ukazał się na płocie między czerwonymi liśćmi jarzębiny i szybko ześliznął się w dół, przyczaiwszy się za płotem, zapewne przy szerokiej szparze. Latem widywało się na Kanatnej kury i brudne, chude prosiaki, przywiązane do kołków. Ale teraz i tego nie było. Widocznie trzytygodniowa głodówka wszystko wyprzątnęła. Nic bezpośrednio nie przypominało o wydarzeniu, lecz w pustce ulicy, obojętnej na przejazd gubernatora, czaiła się ciężka, skupiona zaduma opuszczonych oczu, a w przezroczystym powietrzu jakby czuć było lekki zapach kadzidła.

— Posłuchaj pan! — zawołał gubernator chwytając urzędnika za kolano. — Przecież ten człowiek...

— Jaki człowiek?

Gubernator nie odpowiedział. Mocno ścisnął kolano, całą twarzą zwrócony do urzędnika — jakby w zamkniętym i zabitym deskami domu od razu rozwarły się wszystkie drzwi i okna. Potem, zsunąwszy brwi w grubą, starczo mięsistą fałdę, wolno, całym okazałym tułowiem odwrócił się i uważnie popatrzył na drogę. W kurzu kłapały kopyta koni strażników i ciągnęła się bezludna ulica, po jednej stronie tonąca w czarnym cieniu, po drugiej — jaskrawo oświetlona słońcem, przyczajona w głębokiej zadumie.

Stłoczone, jak stado przerażone burzą, tuliły się do siebie domki o dziurawych dachach, z połamanymi, sterczącymi szczytami i wysuniętymi naprzód, jak starcze podbródki, oknami. Potem — pustkowie, resztki płotu, zasypana studnia z zapadniętą dokoła niej ziemią i olbrzymie lipy za wysokim, na pół rozebrany ogrodeniem, duży dworek, który dziwnym zrzędzeniem losu znalazł się w tym zapadłym kącie, dawno już nie zamieszkały, zgrzybiały, z zamkniętymi okiennicami i zardzewiałą żelazną tabliczką: „Ten dom jest do sprzedania.” Dalej znowu domki i trzy pod rząd nagie ceglane bloki bez ornamentów, z rzadkimi, zapadniętymi oknami. Są jeszcze nowe: widać zaschnięte wapno i nie otynkowane wgłębienia, o które opierały się rusztowania; ale już beznadziejnie brudne i zapuszczone. Przypominają więzienie i na pewno życie w nich będzie tak samo smutne i beznadziejne jak w więzieniu.

A oto i droga w pole, i ostatni domek bez jakiegokolwiek drzewka, bez płotu. Gwałtownie przechylił się do przodu wraz ze ścianami i dachem, jakby go ktoś mocną dłonią uderzył w plecy. I ani w oknach, ani w pobliżu — żywego ducha.

— Trudno panu będzie, Piotrze Iljiczu, przyjeżdżać tu na jesieni. Błoto po uszy.

Gubernator patrzył w bok i milczał. Twarz jego wolno zwierzała się, jakby znowu kolejno zamykały się wszystkie okna i drzwi w głuchym, zabitym deskami domu.

III

Było dużo wesołych zabaw, śmiechu i śpiewu — nazajutrz wyjeżdżał do Petersburga syn Piotra Iljicza, oficer, i znajomi zebrali się, by go pożegnać. Na zielonych łączkach i polankach pod złotem i purpurą liści, w szmaragdowej przezroczystości prześwietlonych leśnych dali, rozsypały się tak samo harmonijnymi i jaskrawymi plamami piękne suknie kobiet i mundury wojskowych. Kiedy zgasła krwawa, prawie zimowa zorza wieczorna i spadające gwiazdy zaczęły kreślić po niebie smugi, puszczano sztuczne ognie — głośno trzaskające rakiety, fontanny ogniste, koła. Duszący dym czołgał się pod starymi, groźnymi drzewami, a gdy zapalono czerwone bengalskie ognie, postaci biegających ludzi przekształciły się w jakieś pokraczne, kurczowo miotające się cienie. Policmajster Sandacz, który mocno wypił przy obiedzie, łaskawie przyglądał się wesołej krzątaniu, dowcipnie salutował damom i czuł się błogo. Kiedy z dymnego mroku tuż obok niego rozległ się głos gubernatora, zachciało mu się pocałować go w ramię, czule objąć

gubernatorską talię, ogłędnie powiedzieć coś takiego, co wyrażałoby oddanie, miłość i zachwyt. Lecz zamiast tego przyłożył dłoń do lewej strony munduru, rzucił na trawę zapalonego przed chwilą papierosa i powiedział:

— Ach, wasza ekscelencjo, cóż za wspaniała uroczystość!

— Posłuchajcie, Heliodorze Wasiliewiczu — przerwał mu gubernator przytłumionym basem — dlaczego obstawia mnie pan agentami? Po co to wszystko?

— Złoczyńcy knują przeciwko pańskiej nietykalnej osobie, wasza ekscelencjo — z uczuciem powiedział Sandacz przyciskając obie ręce do munduru. — A poza tym to mój obowiązek... Trzask pękających petard, śmiech i przerażone krzyki zagłuszyły jego słowa; potem posypał się deszcz niebieskich, zielonych i czerwonych ogni, wyszarpując z zadymionego mroku lśniąca guziki i epolety gubernatora.

— Wiem o tym, Heliodorze Wasiliewiczu, to znaczy, domyślam się, ale nie sądzę, aby to było poważne.

— Nawet bardzo poważne, wasza ekscelencjo. Całe miasto trąbi, aż dziw, jak trąbi. Ja już trzech przyskrzypiłem w cyrkule, ale nie na tych trafiłem.

Przerwał mu nowy wybuch żabek i wesołych okrzyków, a kiedy hałas uspokoił się, gubernatora już przy nim nie było.

Po kolacji nastąpił wesoły i gwarny odjazd, a dyrygował nim młody zastępca przystawa.

Wszystko: i ognie sztuczne, na które patrzył spoza krzaków, i powozy, i ludzie wydały mu się niezwykle piękne, i własny młody głos zdumiewał go siłą i dźwięcznością. Sandacz, całkiem pijany, dowcipkował, śmiał się i nawet śpiewał pierwsze zdania Marsylianki:

Allons, enfants de la patrie,

Le jour de gloire est arrive!...

Wreszcie odjechali.

— Coś taki pochmurny, kochany ojczulku? — spytał oficer i z protekcyjną pieśczęcią położył rękę na ramieniu Piotra Iljicza.

W rodzinie kochano gubernatora, a gubernatorowa nawet bała się go trochę; nie wiadomo jednak dlaczego, od pewnego czasu uważano go za starego i za to z lekka lekceważono.

— Głupstwo! Nieważne! — niezdecydowanie odrzekł Piotr Iljicz. Chciałby porozmawiać z synem i bał się tej rozmowy, gdyż dawno już różnili się w poglądach. Ale teraz ta właśnie różnica mogła okazać się pożyteczną. — Chodzi o to, uważasz — ciągnął speszony — że gnębi mnie ten wypadek. No, z tymi robotnikami.

Szczerze spojrział na syna, tamten odpowiedział zdziwionym wzrokiem i cofnął rękę z ramienia ojca.

— Przecież otrzymałeś aprobatę z Petersburga.

— Ta-ak, oczywiście, jestem bardzo szczęśliwy, ale... Alosza! — z niezgrabną łagodnością starszego i poważnego człowieka zajrzał w piękne oczy syna. — Przecież to nie są Turcy, to moi, Rosjanie, Iwanowie i moi imiennicy — Piotrowie, a ja do nich jak do Turków. Co? Jakże tak?

— To są buntownicy.

— Alosza, przecież mieli krzyże na sobie! A ja — podniósł w górę palec — do tych krzyżów!

— O ile mi wiadomo, ojczu, nigdy nie przywiązywałeś zbytnej wagi do religii. Co tu mają do rzeczy krzyże? To jest dobre do jakiegoś pułkowego rozkazu czy jak tam, ale...

— Oczywiście, oczywiście — pośpiesznie zgodził się gubernator — nie chodzi o krzyże. Ja mówię o tym, że to moi. Rozumiesz, Alosza, moi. Gdybym był Niemcem — jakimś Augustem Karłowiczem Schlieppe-Detmoldem, ale przecież na imię mi Piotr, i przy tym Iljicz.

Oficer sztywniał coraz bardziej.

— Coś płaczesz, papo. Co tu mają do rzeczy Niemcy? Zresztą, jeśli o to chodzi, Niemcy również strzelali do Niemców, Francuzi do Francuzów itd., dlaczegóż więc Rosjanie nie mieliby strzelać do Rosjan? Jako działacz państwowy, powinienes rozumieć, że w państwie najważniejszą rzeczą jest porządek. Kto go narusza — obojętne. Gdybym ja naruszył, to i do mnie powinienes strzelać jak do Turka!

— To racja — kiwnął głową gubernator i zaczął spacerować po pokoju. — To racja.

Nagle stanął.

— Ale przecież oni z głodu, Alosza! Gdybyś ty ich widział!

— Zieniwiejewscy chłopci także buntowali się z głodu, ale nie przeszkodziło ci to wspaniale złoić im skórę.

— Co innego złoić skórę, a co innego... Ten dureń ułożył ich w szeregu jak zwierzynę. A ja spojrzałem na ich nogi i pomyślałem: te nogi już nigdy nie będą chodzić... Nie chcesz mnie zrozumieć, Aleksy. Kat to także konieczność państwowa, ale zostać nim...

— Co ty mówisz, ojczu!

— Wiem, czuję to: zabiją mnie. Nie boję się śmierci — gubernator odrzucił siwą głowę i surowo spojrzał na syna — ale wiem, że mnie zabiją. Wciąż nie rozumiałem, wciąż myślałem: o cóż chodzi? — Rozstawił duże, grube palce i szybko zacisnął je w pięść. — Ale teraz rozumiem: zabiją mnie. Nie śmieję się. Jesteś jeszcze młody, ale dziś poczułem śmierć tu właśnie, w głowie. W głowie!

— Papo, proszę cię, sprowadź kozaków, zażądaj pieniędzy na ochronę, dadzą ci. Proszę cię jak syn i proszę cię w imieniu Rosji, której potrzebne jest twoje życie.

— A któż mnie zabije, jak nie Rosja? I przeciwko komu sprowadzę kozaków? Przeciwno Rosji — w imię Rosji? I czyż mogą kozacy, agenci i strażnicy uratować człowieka, który nosi śmierć tu, w głowie? Dziś trochę wypileś przy kolacji, Alosza, ale jesteś trzeźwy i zrozumiesz: ja czuję śmierć. Już tam, w szopie, poczułem ją, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy. To bzdura, co mówiłem ci o krzyżach i o Rosjanach, i nie o to chodzi. Widzisz tę chustkę?

Szybko wyjął z kieszeni chustkę, rozpostarł ją i jak sztukmistrz zademonstrował Aleksemu.

— Masz. Popatrz!

Machnął chustką przed siebie, tak iż fala wonnego powietrza dotarła do siedzącego nieruchomo oficera.

— Masz. Jesteście nowymi ludźmi, akademikami, nie wierzycie w nic, a ja wierzę w stare prawo: krew za krew. Zobaczysz!

— To podaj się do dymisji i wyjedź gdziekolwiek. Gubernator jakby czekał na taką propozycję i wcale się nie zdziwił.

— Nie. Za nic! — odrzekł twardo. — Sam rozumiesz, że to byłaby ucieczka. Bzdura! Za nic!

— Wybacz, papo, ale widzę tu jakiś nonsens! — Oficer przechylił piękną głowę do ramienia i rozłożył ręce. — Przecież to wykracza już poza zdrowy sens. Mama wzdycha, ty mówisz o jakiejś śmierci. Po co to wszystko? Jak ci nie wstyd, papo! Zawsze uważałem cię za człowieka rozsądnego, twardego, a teraz zachowujesz się jak dziecko lub nerwowa kobieta. Wybacz, ale ja tego nie rozumiem.

Sam nie był nerwowy i nie był podobny do kobiety ten młody, przystojny oficer o różowych, gładko wygolonych policzkach i spokojnych, pewnych siebie ruchach człowieka, który nie tylko szanuje, ale nawet uwielbia swoją osobę. Kiedy przebywał wśród ludzi, czuł się tak samotny, jakby nikogo w pobliżu nie było; tylko bardzo znaczna osobistość, co najmniej generał, mogła

sprawić, że czuł jej obecność i doznawał lekkiego skrępowania, jakie zazwyczaj ogarnia nas wśród ludzi. Lubił i umiał pływać.

Kąpiąc się latem we wspólnej pływalni na Newie, studiował tak spokojnie, uważnie i w skupieniu swoje ciało, jakby poza nim nikt tu nie istniał. Pewnego razu zjawił się w tejsze

plywalni Chińczyk i wszyscy z ciekawością mu się przyglądali — jedni spod oka, inni otwarcie. I tylko on nie spojrział nawet w tym kierunku, gdyż uważał siebie za bardziej interesującego i ważniejszego od Chińczyka. Wszystko na świecie było dla niego jasne i proste. Wszystko dzieliło się bez reszty. Wiedział, że z kozakami w każdym razie jest bezpieczniej niż bez nich.

I w jego wyrzutach brzmiało szczere oburzenie, łagodzone tylko uprzejmością i obawą urażenia starczej ambicji. To, co działo się z jego ojcem, chociaż nie było dla niego całkowitą niespodzianką — zawsze uważał ojca za fantastę — oburzało go jako coś brutalnego, barbarzyńskiego, atawistycznego. Krzyże, krew za krew, Piotrowie i Iwanowie — jakież to bezsens!

„Jednak marny z ciebie gubernator, chociaż cię pochwalono” — pomyślał, wodząc wolno pięknymi oczami za krocącym ojcem.

— Więc jak, papo, gniewasz się na mnie?

— Nie — odrzekł po prostu generał. — Jestem ci wdzięczny za twoje uczucia i dobrze zrobisz, jeżeli uspokoisz matkę. Ja zaś jestem zupełnie spokojny i tylko wypowiedziałem swoje przewidywania. Według ciebie tak, według mnie inaczej, a co dalej — zobaczymy. Idź już spać, najwyższy czas.

— Jeszcze mi się nie chce. Może pospacerujemy po ogrodzie?

— Dobrze.

Od razu ogarnął ich mrok, znikli dla siebie — tylko głosy i czasami dotyk naruszały uczucie dziwnej, wszechogarniającej pustki. Ale gwiazd było dużo i wszystkie jaskrawo płonęły; wkrótce tam, gdzie drzewa były rzadsze, Aleksy Pietrowicz zaczął rozróżniać obok siebie wysoką, masywną sylwetkę ojca. Pod wpływem ciemności, powietrza i gwiazd poczuł tkliwość do tej ciemnej, ledwo widocznej postaci i znów powtórzył swe uspokajające dowodzenia.

— Tak. Tak — odpowiadał urywanie Piotr Iljicz i trudno było zrozumieć, czy się z nim zgadza, czy nie.

— Ależ ciemności! — powiedział Aleksy zatrzymując się. Weszli w głąb alei i dalej już nie można było rozróżnić w jednolitym mroku. — Kazałbyś, papo, postawić tu latarnie.

— Nie ma potrzeby. Ale powiedz mi...

Obaj stali nieruchomo, nie słysząc było szelestu kroków, wszechogarniająca pustka panowała niepodzielnie i władczo.

— No co? — niecierpliwie spytał Aleksy.

— Czy te ciemności mówią ci coś?

„Znowu fantazje” — pomyślał oficer i pouczająco zauważył. — Mówią mi one, że nie powinieneś tu sam chodzić. Za każdym drzewem może ktoś siedzieć zaczajony.

— Zaczajony! Właśnie i mnie mówią one to samo. Wyobraźmy sobie, że tu za każdym drzewem siedzą ludzie — niewidoczni ludzie. I czatują. Wielu ich jest — czterdziestu siedmiu, tyłu, co zabitych — siedzą, słuchają, co mówię, i czatują.

Oficer poczuł się niezręcznie. Rozejrzał się na strony, nic nie zobaczył prócz mroku i postąpił krok, by już iść.

— Chce ci się tak denerwować! — z niezadowoleniem zauważył.

— Nie, poczekaj! — Od lekkiego dotyku palców oficer drgnął. — Wyobraź sobie, że i tam, w mieście, i wszędzie, dokądkolwiek

pójdę, czatują na mnie. Idę sobie i idzie jakiś człowiek, który na mnie czyha. Albo wsiałam do powozu, a obok przechodzi

człowiek i kłania mi się — ten także czyha.

Mrok stawał się złowieszczy, a ponieważ nie widać było człowieka, głos brzmiał dziwnie i obco.

— Dość już, papo, chodźmy!

Oficer szybko, nie czekając na ojca, pomaszerował naprzód.

— Ano, właśnie! — niespodziewanie żartobliwie powiedział Piotr Iljicz zwykłym basem. — A ty mi nie wierzysz. Mówię ci — to jest, w głowie.

Kiedy zabłysło światło z okien, wydało się tak dalekie i niedostępne, że oficerowi zachciało się pobiec ku niemu. Po raz pierwszy dostrzegł szczerbę w swym męstwie i uczył na okamgnienie coś w rodzaju lekkiego szacunku dla ojca, który tak swobodnie i lekko traktował ciemności. Ale i strach, i szacunek znikły, gdy tylko znalazł się w pokojach oświetlonych lampami naftowymi, i znowu miał pretensję do ojca, że nie słucha głosu rozsądku i ze starczym uporem odmawia wezwania kozaków.

IV

Zimą i latem gubernator wstawał o siódmej, oblewał się zimną wodą, pił mleko i potem niezależnie od pogody odbywał dwugodzinny pieszy spacer. Już w młodości przestał palić, prawie nic nie pił i mając pięćdziesiąt sześć lat i siwą głowę czuł się młodzieńczo zdrowy i rześki. Zęby miał mocne, równe, tylko nieco żółtawe, jak u starego konia, oczy z lekka obrzękłe, ale

błyszczące, i duży, starczo mięsisty nos z czerwoną odciśniętą kreską od okularów. Binokli nie nosił, a kiedy pisał lub czytał, nakładał złote, mocno powiększające okulary.

W willi na letnisku dużo miał do czynienia z ziemią. Kwiatów i całego sztucznego ogrodowego piękna nie lubił, ale urządził dobre inspekty, a nawet założył oranżerię, gdzie hodował brzoskwinie. Od czasu jednak znanych wypadków tylko raz zajrzał do oranżerii i pośpiesznie wyszedł. W przegrzanym wilgotnym powietrzu było coś miłego, bliskiego i dlatego szczególnie bolesnego. Kiedy nie jeździł do miasta, większą część dnia spędzał w alejach olbrzymiego parku, obejmującego piętnaście dziesięcin i przemierzał je prostymi, twardymi krokami.

Rozmyślać nie umiał. Myśli napływało dużo, czasami bardzo żywych i ciekawych, lecz nie spletały się one w jednolitą, mocną,

długą nić, a wałęsały się po głowie jak krowy bez pastucha. Zdarzało się, że całymi godzinami kroczył, głęboko i surowo

zamyślony, nic dokoła siebie nie widząc i nie słysząc — i potem nie mógł sobie przypomnieć, o czym myślał. Pozostawało

głuche wspomnienie jakiejś dużej, ważnej, czasami smutnej, czasami wesołej pracy duszy, ale na czym ona polegała — nie

pamiętał. I tylko zmieniający się nastrój — to ponury, wrogi, to wesoły, przyjemny, tkliwy — pozwalał domyślić się charakteru tej ukrytej, zagadkowej pracy w niedostępnych głębiach mózgu. Nastrój po wydarzeniach — niezależnie od jawnych myśli — pozostawał niezmiennie smutny, surowo beznadziejny; ocknąwszy się z zadumy czuł się tak, jakby przeżył w ciągu tych godzin nieskończenie długą i nieskończenie czarną noc. Kiedyś w młodości tonął w bystrej, głębokiej rzece. Na długo zachował w duszy chaotyczny obraz duszącego mroku, bezsilności i wciągającej, wsysającej głębi. Teraz odczuwał coś podobnego.

W dwa dni po odjeździe syna, w słoneczny bezwietrzny ranek spacerował jak zwykle po alei i myślał. Z alei zmieciono już opadłe w ciągu nocy żółte liście i na bruzdkach od miotły wyraźnie odciskały się ślady dużych butów o wysokim obcasie i szerokiej, czworokątnej podeszwie — ślady głęboko włoczone, jakby do ciężaru człowieka doszedł ciężar jego myśli i właczał go w ziemię. Chwilami stawał i wówczas gdzieś nad głową, w gęstwinie oświetlonych słońcem gałęzi, rozlegało się wyraźne, pracowite pukanie dziecięcia. Podczas jednego z takich postojów przebiegła przez aleję wiewiórka: czerwona kulka, niby na kółkach, przetoczyła się z jednego drzewa na drugie.

„Zabiją mnie na pewno z rewolweru. Teraz są dobre rewolwery — rozważał — a bomb w naszym miasteczku nie umieją nawet

robić. Zresztą, bomby przeznaczone są na ogół dla tych działaczy państwowych, którzy się chowają. Na przykład Aloszę, kiedy zostanie gubernatorem, zabiją bombą — pomyślał Piotr Iljicz i lewy jego wąs uniośł się z lekka w sarkastycznym uśmiechu, chociaż oczy po dawnemu pozostały poważne i pochmurne. — Ale chować się nie będę, dość już tego, co zrobiłem."

Stanął i zdjął z tużurka pajęczynę.

„Szkoda tylko, że nikt nie będzie znał tych właśnie moich uczciwych, odważnych myśli. Wszystko inne — wiadome, a one pozostaną nieznanne. Zabiją jak łotra. Szkoda, ale nic na to nie poradzę. I mówić nie będę. Po co mam wzruszać sędziego? Wzruszać sąd to nieuczciwie. I tak będzie miał dość trudności, a tu jeszcze ktoś pocznie przed nim biadolić: jestem uczciwy, uczciwy."

Po raz pierwszy pomyślał o jakimś sędzim i zdziwił się, skąd mu to przyszło, i to tak przyszło, jakby to była kwestia już dawno zdecydowana. Jakby mocno spał i we śnie ktoś mu wyjaśnił, że trzeba pomyśleć o sędzim. Potem obudził się, zapomniał o śnie, zapomniał o wyjaśnieniach i wie tylko, że sędzia istnieje, najzupełniej legalny sędzia, obdarzony olbrzymimi i groźnymi

pełnomocnictwami. Po chwilowym zdziwieniu, spokojnie i po prostu zaakceptował tego nieznanego sędziego, jak się wita dobrego, starego znajomego.

„Alosza tego nie rozumie. Według niego — wszystko jest koniecznością państwową. Cóż to jednak za konieczność państwowa — strzelanie do głodnych? Konieczność państwowa — to nakarmić głodnych, a nie strzelać. Młody jest jeszcze, głupi, daje się porwać."

I nagle, jeszcze nie dokończywszy tej pokrzepiającej myśli, zrozumiał, że przecież to nie Alosza strzelał, lecz on. Jakby powietrze rozżarzyło się, sparło dech — i tylko olbrzymie, potwornie okrutne, bezmyślne:

— Za późno!

Nie wiedział, czy była to myśl, czy uczucie, czy też słowa, które wypowiedział głośno:

zabrzmiało donośnie zewsząd i szybko oddaliło się, jak uderzenie piorunu nad głową.

Nadeszły długie chwile pogmatwania myśli, pośpiesznej, chaotycznej ich ucieczki, bolesnych zderzeń — i martwy spokój, nieomal odpoczynek.

Zabłyśły w słońcu poprzez drzewa szyby oranżerii, trójkąt białej ściany nakrapianej, jak krwią, czerwonymi liśćmi dzikiego wina. Ulegając przyzwyczajeniu przedostał się ścieżką między opustoszałymi już inspektami i wszedł do oranżerii. Zastał tam starego robotnika, Jegora.

— Ogrodnika nie ma?

— Nie ma, wasza ekscelencjo. Pojechał do miasta po szczepionki. Dziś piątek.

— Aha. Dobrze wszystko idzie?

— Chwalić Boga.

Okna były tylko co podniesione i nieskrępowane promienie słońca zatapiały oranżerię wyganiając z niej duszną, ciężką wilgoć. Czuło się, jak gorące, silne jest słońce, jak jest łagodne i dobre. Gubernator usiadł połykując błyszczącymi w słońcu guzikami tużurka. Rozpiął go i uważnie spojrzął na Jegora.

— No jak tam, bracie Jegorze?

Stary uprzejmie uśmiechnął się na łaskawe, lecz nieokreślone pytanie. Stał swobodnie, ręce miał uwalane wilgotną ziemią i powolutku ocierał jedną o drugą.

— Słyszałem, Jegorze — że chcą mnie, jakoby, zabić? Za tych robotników, wiesz?

Jegor wciąż tak samo uprzejmie się uśmiechał, ale przestał ocierać ręce — schował je za plecy i milczał.

— Więc jak myślisz, stary, zabijają czy nie? Jesteś piśmienny? Gadaj, nie krępuj się. Obaj jesteśmy starzy.

Jegor pokręcił głową, rozsypując na czole szpakowate, kędzierzawe włosy, spojrzął na gubernatora i odrzekł:

— Kto ich tam wie. Chyba zabiją, Piotrze Iljiczu.

— A któż to ma zabić?

— Ano lud, społeczność — po naszymu, po wsiojemu.

— A co mówi ogrodnik?

— Nie wiem, Piotrze Iljiczu, nie słyszałem. Obaj westchnęli.

— A więc źle, stary. Może byś usiadł?

Jegor nie zwrócił uwagi na zaproszenie i milczał.

— A ja myślałem, że trzeba tego... strzelać. Rzucali kamieniami, wymyślali, o mało we mnie nie trafili...

— To z rozpaczy. Niedawno na targu jeden pijany, chyba rzemieślnik, kto go tam wi, płakał, a potem podniósł kamień i jak nim trzaśnie! Z rozpaczy pewnie, nie inaczej.

— Zabiją, a potem sami będą żałować — w zamyśleniu powiedział gubernator wyobrażając sobie twarz syna, Aleksego.

— Na pewno będą żałować. I jeszcze jak będą żałować: gorzkie łzy wyleją.

Obudziła się nadzieja:

— W takim razie, po co mają zabijać? Przecież to bzdura, stary!

Wzrok robotnika szybko pograżył się w jakiejś niezmierzonej głębi, powłókł się mgłą, jakby stwardniał. Przez chwilę wyglądał jakby wyciosany z kamienia; i miękkość fałd czerwonej, znoszonej koszuli, i puszystość włosów, i ręce uwalane ziemią, jakby obdarzone samodzielnym życiem — wszystko było jakby oczarowaniem niezmiernie utalentowanego rzeźbiarza, który powłókł twardy kamień ułudą miękkich i lekkich tkanin.

— Kto ich tam wie — odrzekł wreszcie Jegor nie patrząc. — Lud, znaczy, tego pragnie. Ale niech się wasza ekscelencja tym nie trapi: czyż mało rzeczy plotą niepotrzebnie? Pogadają, pogadają, a potem zapomną.

Nadzieja zgasła. Nic nowego i szczególnie mądrego Jegor nie powiedział. Ale tkwiła w jego słowach straszna pewność, jak w tych półśnach podczas długich, samotnych spacerów. To jedno tylko zdanie: „Lud pragnie”, bardzo trafnie oddawało to, co on sam czuł, i było przekonywające nie do obalenia. Być może, to dziwne przekonanie tkwiło nawet nie w słowach Jegora, lecz w jego spojrzeniu, w kędziarach szpakowatych włosów, w szerokich, jak łopaty, rękach, pokrytych świeżą ziemią.

A słońce świeciło.

— No, żegnaj, Jegorze! Masz dzieci?

— Życzę zdrowia, wasza ekscelencjo! Gubernator zapiął szczelnie tużurek, wyprostował ramiona i wy dostał z kieszeni srebrnego rubla.

— Masz, stary, kup sobie cokolwiek.

Jegor wyciągnął dłoń jak deskę, z której moneta, zdawało się, powinna by się stoczyć jak z dachu, i podziękował.

„Dziwni są ci ludzie — pomyślał gubernator przecinając światłocienie przeszytej promieniami słońca alei i sam krusząc się na jasne i ciemne kawałki. — Bardzo dziwni ludzie! Nie noszą obrączek, nigdy nie można zgadnąć, czy są żonaci. Zresztą, owszem, mają obrączki bądź srebrne, bądź nawet cynowe. Jakie to dziwne! Człowiek żeni się i nie stać go na kupienie złotej obrączki za trzy ruble. Co za ubóstwo! Nie zauważyłem: tamci w szopie prawdopodobnie również mieli cynowe obrączki. Cynowe z cienkim paseczkiem pośrodku. Tak, teraz sobie przypominam.”

Coraz niżej i niżej krążąc, jak jastrząb nad upatrzonym krzakiem, i zwężając kręgi myśli zapadła w głębie; słońce zgasło i aleja znikła — puknął dzięcioł, liść przepłynął i wszystko zatarło się w mroku, a on sam jakby utonął w jednym ze swych strasznych i dręczących półśnów.

Robotnik. Twarz ma młodą, piękną, ale pod oczami we wszystkich zagłębieniach i zmarszczkach czernieje pył metalowy, jakby zawczasu zarysowując czaszkę; usta ma szeroko otwarte i straszne — krzyczy! Coś krzyczy. Koszula rozdarta na piersi; rwie ją dalej lekko, bez trzasku, jak miękki papier, i obnaża pierś. Pierś biała i połowa szyi biała, a od połowy ku twarzy już ciemna — tułów ma niby taki, jak wszyscy inni ludzie, ale głowę przestawiono mu skądś z boku.

— Po co drzesz koszulę? Przykro patrzeć na twoje ciało.

Ale biała, obnażona pierś tępo napiera na niego.

— Masz, masz, bierz! Ale oddaj prawdę, oddaj prawdę!

— Skądże ci wezmę prawdę? Jakiś ty dziwny. Kobieta mówi:

— Dzieciaki wszystkie pomarły. Dzieciaki wszystkie pomarły. Dzieciaki — dzieciaczki wszystkie pomarły.

— Dlatego tak pusto na waszej ulicy.

— Dzieciaki, dzieciaczki, dzieciątka . wszystkie pomarły. Dzieciątka.

— Ależ to nie może być, żeby dziecko umarło z głodu! Dziecko to mały człowiek, który sam nie potrafi otworzyć drzwi. Nie kochacie swoich dzieci. Gdyby moje dziecko było głodne, to bym je nakarmił. No tak, ale przecież wy macie tylko cynowe obrączki.

— My nosimy żelazne obrączki. Ciało jest nimi skute, dusza skuta. Mamy na sobie żelazne obrączki.

Na ganku przy kuchni, w cieniu, pokojówka czyści suknię Marii Pietrowny; okna kuchni są otwarte, a za nimi miga postać kucharza w białym fartuchu. Cuchnie pomyjami i brudem.

„Gdzież ją się znalazłem? — dziwi się gubernator. — Przecież to kuchnia! O czym to ja myślałem? Właśnie! Trzeba zobaczyć, która godzina, żeby wiedzieć, czy prędko będzie śniadanie. Jeszcze wcześniej. Dziesiąta. Oni czują się skrupowani tym, że tu przyszedłem. Trzeba odejść.”

Długo jeszcze wędrował alejami i wciąż myślał. Przypominał człowieka przechodzącego w bród szeroką, nieznaną rzekę; to zapada się po kolana, to na długo znika pod wodą i wraca stamtąd blady, na pół uduszony. Myślał o synu Aleksym, próbował myśleć o swych sprawach służbowych, ale wszędzie, dokądkolwiek skierował myśli, niepostrzeżenie natykał się na wydarzenia, grzebiąc się w nich jak w niewyczerpanej kopalni. Nawet wydało mu się dziwne, że o czymś innym mógł przedtem myśleć — przed nieszczęściem. Wszystko „inne” wydawało mu się takie puste, nieistotne, niezdolne do zrodzenia jakiegokolwiek myśli.

Chłopów zanziewiejskich kazał wychłostać jakieś pięć lat temu, w drugim roku swego gubernatorstwa, i również otrzymał wtedy aprobatę ministra; od tego właśnie rozpoczęła się szybka i świetna kariera Aleksego, na którego zwrócono uwagę jako na syna człowieka bardzo energicznego i rzutkiego. Dawno to było, więc mętnie sobie przypomina. Chłopi gwałtem zabrali dziedzicowi jakieś zboże, on zaś przyjechał z żołnierzami i policją i odebrał je chłopom. Nie było tam nic strasznego ani groźnego, raczej wszystko głupio wesołe.

Żołnierze ciągnęli worki z ziarnem, a chłopci kładli się, przyciskając piersi do worków, i wlekli się wraz z nimi przy akompaniamencie żartów i śmiechów rozbawionych policjantów i żołnierzy. Potem chłopci krzyczeli, dziko wymachiwali rękami i jak ślepi wpadali na parkany, na ściany i na żołnierzy. Któryś z

chłopów, oderwany od worka, milcząc, trzęsącymi się rękami macał po trawie szukając kamienia, by nim cisnąć. W promieniu wiorsty nie można było znaleźć kamienia, a ten wciąż macał, aż na dany przez sprawnika znak policjant pogardliwie pchnął go kolanem w uniesiony tyłek, tak iż chłop stanął na czworaki i, raczkując, dokądś się poczołgał. Jak by wszyscy chłopci — i ten i inni — zrobieni byli z drewna, tak ciężkie, nieomal skrzypiące mieli ruchy. By odwrócić chłopca twarzą do góry, potrzeba było

dwóch ludzi. I już stanąwszy jak należy, wciąż jeszcze nie wiedział, gdzie ma patrzeć, a kiedy na koniec wypatrzył, to nie mógł się już oderwać i znów dwóch ludzi obracało go z wysiłkiem.

— Ano, bratku, zrzucaj portki, będziesz się kapać.

— Czego? — dziwił się chłop, chociaż sprawa była jasna.

Obca ręka rozpiniała jedyny guzik, portki opadały i chudy chłopski tyłek bezwstydnie wynurzał się na światło dzienne. Chłostano lekko, jedynie dla napędzenia strachu, i nastrój był wesoły. Odchodząc, żołnierze zaśpiewali zuchowatą piosenkę, a ci, co znajdowali się bliżej wozów z aresztowanymi chłopami, mrugali do nich. Działo się to na jesieni i chmury nisko sunęły nad czarnymi ścierniskami. Oni odeszli do miasta, do światła, a wieś pozostała pod niskim niebem wśród ciemnych, rozmytych gliniastych pól z krótkimi i rzadkimi ścierniskami.

„Dziatki wszystkie pomarły, dziatki, dziateczki wszystkie pomarły. Dziatki!”

Uderzono w gong na śniadanie. Szybkie, wesołe dźwięki rozbiegły się po parku. Gubernator ostro zawrócił, surowo spojrzał na zegarek — za dziesięć dwunasta. Schował zegarek i stanął. — Hańba! — głośno i gniewnie powiedział wykrzywiając usta. — Hańba, obawiam się, że jestem łotrem.

Po śniadaniu przeglądał w gabinecie przywiezioną z miasta korespondencję. Ponuro i z roztargnieniem, połyskując okularami, otwierał koperty. Jedne odkładał na bok, inne obcinał nożyczkami i nieuważnie czytał. Któryś list w wąskiej kopercie, z taniego, cienkiego papieru, oblepionej kopiejkowymi, żółtymi znaczkami wpadł mu w rękę i tak jak inne koperty został przecięty wzdłuż brzegu. Odłożywszy kopertę rozwinął cienki arkusik o rozlanych literach atramentowych i przeczytał:

„Dzieciobójca.”

Coraz bielsza stawała się twarz; jest już prawie tak biała jak włosy. Rozszerzone źrenice widzą poprzez grube, wypukłe szkła:

„Dzieciobójca!”

Litery olbrzymie, krzywe i ostre, i ogromnie czarne, kołyszą się na włóchatym jak parcianka papierze.

„Dzieciobójca!”

V

Już nazajutrz rano po zabójstwie robotników całe miasto obudziwszy się wiedziało, że gubernator zginie. Nikt jeszcze nic nie mówił, lecz wszyscy wiedzieli: jakby tej nocy, kiedy żywi niespokojnie spali, a zabici wciąż w tym samym dziwnym porządku, noga przy nodze, spokojnie leżeli w szopie strażackiej, nad miastem przeleciał ktoś ciemny i przykrył je czarnymi skrzydłami.

Kiedy ludzie zaczęli mówić o zabójstwie gubernatora — jedni wcześniej, inni — bardziej powściągliwi, później — to mówili tak, jak o sprawie dawno już i bezpowrotnie przez kogoś przesądzonej.

Jedni, bardzo liczni, mówili obojętnie, jak o czymś, co ich nie dotyczy, jak o zaćmieniu słońca, które będzie widzialne tylko na drugiej półkuli ziemskiej i obchodzi tylko mieszkańców tamtej strony; drudzy, mniejszość, denerwowali się i sprzeczali co do tego, czy gubernator zasługuje na tak okrutną karę i czy jest sens zabijać poszczególne jednostki, chociażby nawet bardzo szkodliwe, skoro ogólny układ życia pozostaje nie zmieniony. Zdania podzieliły się; ale w spory najbardziej sprzeczne nie wkładano nadmiernego zapалу, tak jakby chodziło nie o wydarzenie, które dopiero ma się stać, lecz o fakt dokonany, którego

żadne poglądy zmienić nie zdołają. Na skutek tego wśród wykształconych ludzi spór bardzo szybko przeniósł się na szeroki grunt teoretyczny a o samym gubernatorze zapomniano' jak o nieboszczyku.

Spory wyjaśniły, iż gubernator ma więcej przyjaciół niż wrogów i nawet wielu z tych, którzy teoretycznie aprobowali polityczne

zabójstwa, dla niego znajdowali usprawiedliwienie; gdyby w mieście przeprowadzono głosowanie, to zapewne olbrzymia większość, kierując się rozmaitymi teoretycznymi i praktycznymi względami, wypowiedziałaby się przeciwko zabójstwu czy też karze śmierci, jak niektórzy to nazywali. I tylko kobiety, zazwyczaj litościwe i bojące się krwi, w tym wypadku wykazywały dziwne okrucieństwo i nieprzewyciężony upór: prawie wszystkie głosowały za śmiercią i pomimo wszelkich dowodzeń i argumentów twardo i tępo stały przy swoim. Zdarzało się, że kobieta ustępowała i uznawała zbyteczność zabójstwa. Lecz nazajutrz, jakby nigdy nic, jakby przespawszy swą wczorajszą zgodę, znowu twierdziła, że trzeba zabić.

W sumie trwała wciąż ta sama gmatwanina myśli i ostra różnica zdań. I gdyby ktoś nowy ze strony posłuchał tego, co mówią, nigdy nie zrozumiałby, czy należy zabić gubernatora, czy nie, i ze zdziwieniem by spytał:

— Ale dlaczego sądzicie, że będzie zabity? I kto go zabije?

Nie otrzymałby odpowiedzi, a po pewnym czasie wiedziałby, jak i wszyscy, czerpiąc wiedzę z tegoż samego nieznanego źródła, że gubernator będzie zabity i że śmierć jego jest nieunikniona. Albowiem wszyscy, zarówno przyjaciele gubernatora, jak i wrogowie, usprawiedliwiający go i potępiający, wszyscy ulegali tej samej niezachwianej psychozie, że śmierć jest nieunikniona. Myśli były różne, słowa różne, a uczucie identyczne — olbrzymie, władcze, wszechogarniające, przemożne uczucie, w swej sile i obojętności podobne samej śmierci. Zrodzone w mroku, samo przez się będące nieprzeniknionym mrokiem, panowało tryumfalnie i groźnie i ludzie na próżno starali się je naświetlić kagankami swego rozumu.

Tak jakby samo prastare, siwe prawo, karzące

śmiercią za śmierć, z dawien dawna śpiące, nieomal martwe w oczach nie widzących,

rozwarło swe zimne oczy, zobaczyło zabitych mężczyzn, kobiety i dzieci i

władczo wyciągnęło nieubłaganą dłoń nad głową zabójcy. Nieświadomie kłamiący ludzie ulegli temu nakazowi i odsunęli się od

człowieka, który stał bezbronny wobec wszystkich odmian śmierci, jakie istnieją na świecie.

Zewsząd, ze wszystkich ciemnych

kątów, z pola, z lasu, z jarów ruszyły na człowieka, rozkołysane, utykające, tępe, pokorne, nawet nie krwiożercze.

Tak zapewne w odległych, prastarych czasach, kiedy żyli prorocy, kiedy mniej było myśli i

słów i młode było groźne prawo płacące śmiercią za śmierć, i zwierzęta przyjaźniły się z

człowiekiem, a pioruny podawały mu rękę — w tych odległych i dziwnych czasach

przestępca stawał się dostępny śmierci: kąsała go pszczoła i bódł ostrorogi byk, kamień

czekał na godzinę upadku, by zmiażdżyć nieosłoniętą głowę; choroba dręczyła go na oczach

ludzkich, jak szakał szarpie padlinę; i wszystkie strzały, łamiąc

linię swego lotu, szukały jego czarnego serca i opuszczonych oczu; rzeki zmieniały nurt

podmywając mu piasek u stóp i sam

władca-ocean rzucał na ziemię kudłate wały i rykiem przepędzał w pustynię. Tysiące śmierci,

tysiące mogił. W miękkim piasku grzebała go pustynia, gwizdem wichru opłakiwała i

wyszydzała; ciężkie masy gór opadały na jego pierś i w wiecznym milczeniu kryły tajemnicę

wielkiej odpłaty — i samo życiodajne słońce z beztroskim śmiechem wypalało mu mózg i

łagodnie ogrzewało muchy w oczodołach nieszczęsnych oczu. Zamierzchłe to czasy, i młode,

jak otrok, było wielkie prawo płacące śmiercią za

śmierć: rzadko przymykało swe zimne, orle oczy.

Wkrótce w mieście zamilkły rozmowy zatrute bezpłodnością. Trzeba było albo akceptować zabójstwo, jako święty fakt, na wszystkie sprzeciwy i dowodzenia przytaczając, podobnie jak kobiety, jedno niezachwiane: „przecież nie można zabijać dzieci”, bądź beznadziejnie gmatwać się w sprzecznościach, wahać, gubić myśl, zamieniać się nią z innymi, jak czasami pijani zamieniają się czapkami, i mimo to ani na jotę nie posuwać się naprzód. Rozmowy te nudziły, więc przestano mówić, i na zewnątrz nic nie przypominało o wydarzeniu; wśród głuchego milczenia i spokoju chmury gradowej narastało wielkie i straszne oczekiwanie. I ci, co odno sili się obojętnie do wydarzenia i do dziwnych z niego wniosków, i ci, którzy cieszyli się z mającej nadejść kary, i ci, co głęboko oburzali się na nią — wszyscy w jednym olbrzymim wyczekiwaniu, napiętym i groźnym, czekali na nieuniknione. Gdyby w tym czasie gubernator zmarł na febrę lub tyfus, czy też z powodu przypadkowego wypalenia strzelby myśliwskiej, nikt nie uważałby tego za przypadek i za widoczną przyczyną doszukiwano by się innej, niewidocznej, nawet nie uświadomianej, lecz istotnej. W miarę jak narastało wyczekiwanie, coraz więcej myślano o Kanatnej.

A na Kanatnej panowały spokój i cisza, jak i w całym mieście, i sfera detektywów na próżno doszukiwała się oznak nowego buntu lub jakiegoś występnego, straszego spisku. Tak samo jak w mieście, natknęli się i tu na pogłoskę o mającym nastąpić zabójstwie gubernatora, ale również nie mogli wykryć jej źródła: mówili wszyscy, lecz tak jakoś nieokreślenie, tak bez sensu, że nic z tego nie można było wywnioskować. Ktoś bardzo silny, nawet mocarny, strzelający bez pudła, powinien w tych dniach zabić gubernatora — oto wszystko, co można było zrozumieć z rozmów. Szpieg Grigoriew, udający pijanego, podsłuchiwał w niedzielę w piwiarni jedną z takich tajemniczych rozmów. Dwóch robotników, mocno podchmielonych, nieomal pijanych, siedziało nad butelką piwa i nachylając się do siebie przez stół,

nieostrożnymi ruchami zawadzając o butelki, tajemniczo, półgłosem szeptało:

— Bombą zabiją — mówił jeden, widocznie lepiej poinformowany.

— No-o? Bombą? — dziwił się drugi.

— No tak, bombą, bo jakżeby inaczej? — zaciągnął się papierosem, wypuścił dym prosto w oczy rozmówcy, po czym surowo i pozytywnie dodał: — W kawałki go rozerwie.

— Mówiono, że na dziewiąty dzień...

— Nie-e — skrzywił się robotnik wyrażając najwyższy stopień zaprzeczenia. — Dlaczego na dziewiąty dzień? To zabobon, dziewiąty dzień. Po prostu zabiją rano.

— Kiedy?

Robotnik odgrodził się od sali pięcioma rozstawionymi palcami, kołysząc się nachylił się blisko do rozmówcy i głośnym szeptem oświadczył:

— W niedzielę, za tydzień.

Obaj, kołysząc się i dziwnie rozpluwając się sobie wzajemnie w oczach, tajemniczo zamilkli. Potem pierwszy znacząco podniósł palec i pogroził.

— Rozumiesz?

— Nie chyba. To nie tacy!

— Nie-e — zmarszczył się pierwszy — gdzie tu można chybić? Sprawa czysta, cztery asy.

— Same atuty — potwierdził drugi.

— Rozumiesz?

— Chyba, że rozumiem.

— A jeżeli rozumiesz, to jeszcze wypijmy. Czy ty mnie, Wania, szanujesz?

I długo w największej tajemnicy szeptali, zamieniali spojrzenia, mrużyli oczy i pochylali się ku sobie przewracając puste butelki. Też nocy aresztowano ich, ale nic podejrzanego przy nich nie znaleziono, i podczas pierwszego badania wyjaśniło się, że obaj absolutnie nic nie wiedzą i tylko powtarzają jakieś pogłoski.

— Ale dlaczego nawet dzień wyznaczałeś, niedzielę? — groźnie pytał podpułkownik żandarmerii, prowadzący badanie.

— Nie wiem — odrzekł przerażony robotnik, od trzech dni nie mający w ustach papierosa. — Byłem pijany.

— Wszystkich by was, psubratów!... — krzyczał pułkownik, ale nic nie mógł z nich wydebić. Trzeźwi także byli nie lepsi. W warsztatach, na ulicy dzielili się otwarcie uwagami co do gubernatora, wymyślali mu, i cieszyli się, że wkrótce zginie. Ale nic konkretnego nie mogli powiedzieć, a wkrótce w ogóle przestano mówić i tylko cierpliwie czekali. Czasami podczas pracy jeden rzucał drugiemu:

— Wczoraj znowu przejeżdżał bez żołnierzy.

— Sam głowę nadstawia!

I znowu pracowali. Zaś nazajutrz na innym krańcu ulicy można było usłyszeć:

— Znowu wczoraj przejeżdżał.

— A niech sobie pojeździ.

Tak jakby odliczano każdy dzień jego życia. I już dwa razy nagle, prawie jednocześnie we wszystkich punktach Kanatoej i w fabryce powstawała pewność, że gubernator właśnie w tej chwili zginął. Kto pierwszy przynosił wiadomość — trudno było ustalić, ale zbierając się w gromadki przekazywano sobie szczegóły zabójstwa — ulicę, godzinę, ilość zabójców, broń. Niemal znajdowali się naocznymi świadkami, którzy słyszeli wybuch. I wszyscy stali bladzi, zdecydowani, nie okazując ani radości, ani smutku, aż po paru minutach nadchodziło zaprzeczenie pogłoski. Wówczas tak samo spokojnie rozchodzono się, bez rozczarowania, jakby nie opłacało się martwić z powodu sprawy odłożonej na parę dni — może nawet na parę godzin — a może tylko minut.

Tak samo jak w mieście, kobiety na Kanatnej były sędziami najbardziej nieubłaganymi i bezlitosnymi. Nie rozważały, nie dowodziły. Po prostu czekały i w swe oczekiwanie wkładały cały żar niezachwianej wiary, cały smutek nieszczęsnego życia, całe okrucieństwo zubożałej, głodnej, zduszonej myśli. Miały w swym życiu specjalnego wroga, którego nie znali mężczyźni — piec. Wiecznie głodny, o wiecznie spragnionej, otwartej paszczy, mały piecyk straszniejszy od wszystkich rozżarzonych pieców

piekła. Od rana do nocy, co dzień dzierzył wszystko w swej władzy; zabijając duszę, trzebił z głowy wszystkie myśli prócz tych, które mu służyły i tylko jemu były potrzebne. Mężczyźni tego nie znali: kiedy kobieta rano po obudzeniu spoglądała na źle przymknięte żelazne drzwiczki pieca, porażał jej wyobraźnię jak widmo, doprowadzał nieomal do skurczów wstrętu i strachu —

tępego, zwierzęcego strachu. Ograbiona z myśli kobieta nawet nie umiała nazwać swego wroga i grabieżcę; ogłuszona, znowu pokornie oddawała mu duszę, a śmiertelny, czarny smutek spowijał ją nieprzejrzywą mgłą. Przez to wszystkie kobiety Kanatnej sprawiały wrażenie złych: biły dzieci, tłukąc je nieomal na śmierć, klóciły się ze sobą i z mężczyznami. Ich usta pełne były wyrzutów, skarg i złości.

Podczas strasznej trzytygodniowej głodówki, kiedy po parę dni nie palono w piecu, kobiety odpoczywały — dziwnym odpoczynkiem umierającego, u którego na parę chwil przed śmiercią ustały bóle. Myśl, która na chwilę wydarła się żelaznej obręczy, z całą namiętnością i siłą przywierała do ułudy nowego życia — jakby walka szła nie o dodatkowe pięć rubli, o których gadali mężczyźni, lecz o całkowite i radosne wyzwolenie się z odwiecznego jarzma. Grzebiąc dzieci umierające z wyczerpania i oplakując je krwawymi łzami, szerniały ze smutku, zmęczenia i głodu, kobiety w te ciężkie dni były łagodne i życzliwe jak nigdy: wierzyły, że darmo nie może minąć taka okropność, że po wielu cierpieniach nastanie wielka nagroda. I kiedy 17 sierpnia na placu, lśniąc mundurem w

promieniach słońca, wyszedł do nich gubernator, wzięły go za samego siwego Pana Boga. A ten im powiedział:

— Trzeba wrócić do pracy. Póki nie staniecie do pracy, nie mogę z wami rozmawiać.

A potem:

— Postaram się coś dla was zrobić. Wracajcie do pracy, a ja napiszę do Petersburga.

Potem:

— Wasi gospodarze — to uczciwi ludzie, nie grabieżcy, i zakazuję wam tak ich nazywać. A jeżeli jutro nie staniecie do pracy, każę zaniknąć fabrykę i powysyłam was.

Potem:

— Dzieci umierają z waszej winy, wracajcie do pracy. Potem:

— Jeżeli będziecie się tak zachowywać i nie rozejdziecie się, każę rozpędzać siłą. Stawajcie do pracy!

Potem chaos krzyków, płacz dzieci — trzask wystrzałów, ścisk — i okropna ucieczka, kiedy człowiek nie wie, dokąd biegnie, pada, znowu biegnie, gubi dzieci, dom. I znowu — jakby nie upłynęła ani jedna chwila — przekłety piec, tępy, nienasycony, wiecznie rozwierający paszczę. I znowu, wciąż znowu to samo, od czego rzekomo na zawsze odeszli, a do czego wrócili — na stałe.

Może właśnie w kobiecej głowie zrodziła się myśl, że gubernator powinien zginąć. Wszystkie stare słowa, jakimi określa się uczucia wrogości człowieka do człowieka, nienawiść, gniew, pogarda nie pasowały do tego, czego doznawały kobiety. To było nowe uczucie — uczucie spokojnego i bezapelacyjnego potępienia. Gdyby topór w ręku kata mógł czuć, to zapewne czułby się tak samo — zimny, ostry, błyszczący, spokojny topór. Kobiety czekały spokojnie nie wahając się ani chwili, nie wątpiąc, i swym oczekiwaniem przesycaly atmosferę, którą oddychali wszyscy i którą oddychał gubernator. Były naiwne. Wystarczyło, że gdzieś głośno trzasnęły drzwi, wystarczyło, że ktoś głośno tupiąc nogami przebiegł przez ulicę — wypadały z domów z gołymi głowami, prawie uszczęśliwione:

— Zabity?

— Nie, nic się nie stało! To tylko Sieńka poleciał po wódkę.

I tak do nowego stuknięcia i nowego tupotu nóg na zacichłej, zmartwiałej ulicy. Kiedy przejeżdżał gubernator, czujnie patrzyły na niego spoza firanek. Gubernator zniknął — kobiety znowu wracały do pieca. Nie dziwiło ich, że gubernator, zawsze jeżdżący ze strażą, nagle zaczął jeździć sam, bez ochrony — tak topór, gdyby mógł czuć, nie zdziwiłby się, zobaczywszy obnażoną szyję. Trzeba, aby była obnażona. Z szarych nici rzeczywistości splatały wspaniałą legendę. I to one, szare kobiety szarego życia obudziły stare, siwe prawo płacące śmiercią za śmierć.

Smutek po zabitych wyrażał się powściągliwie i głucho: był tylko cząstką ogólnego, wielkiego smutku, wchłanianą przezeń bez reszty — jak słońca łąza przez słony ocean. Ale w piątek, pod koniec trzeciego tygodnia po krwawych wypadkach, nagle dostała pomieszania zmysłów Nastazja Sazonowa, której zabito córkę, siedmioletnią dziewczynkę Tanię. Przez trzy tygodnie pracowała jak wszystkie przy swoim piecu, kłóciła się z sąsiadkami, pokrzykiwała na dwoje pozostałych dzieci i nagle, kiedy się tego nikt nie spodziewał, zwariowała. Już od samego rana zaczęły jej drżeć ręce. Stłukła filiżankę. Potem, jakby mgła ją spowiła, zaczęła zapominać, co miała zrobić; przerzucała się od jednej rzeczy do drugiej i bezmyślnie powtarzała:

— Boże, cóż to ja robię?

Wreszcie całkiem zamilkła i, milcząc, z tępą pokorą wałęsała się z kąta w kąt, przenosząc z miejsca na miejsce wciąż tę samą rzecz, stawiając ją, znowu biorąc, nie mogąc się oderwać od pieca w swej malignie. Dzieci były w ogrodzie, puszczały latawca, i kiedy synek Piet'ka przyszedł do domu po kawałek chleba, matka milcząca i nieprzytomna pakowała do

wygasłego pieca rozmaite rupiecie: pantofle, watowaną podartą bluzkę, czapkę Piet'ki. Z początku chłopak roześmiał się, ale potem spojrzał matce w twarz i z krzykiem wybiegł na ulicę.

— Aj, aj, aj! — leciał i krzyczał płosząc całą okolicę. Zebrały się kobiety i jęły nad nią zawodzić jak psy

ogarnięte smutkiem i przerażeniem, ona zaś, przyspieszając ruchy i odgarniając wyciągające się do niej ręce, gwałtownie dreptała w kółko na trzech arszynach przestrzeni, sapała i coś bełkotała. Stopniowo ostrymi, krótkimi szarpnięciami podarła na sobie suknię, obnażając górną część tułowia, żółtą, wychudłą, z obwisłymi, kołyszącymi się piersiami, i zawyla strasznym, przeciągłym wyciem, powtarzając i rozciągając wciąż te same słowa:

— Nie mo-o-gę, ko-cha-ni, nie mo-o-gę! Wybiegła na ulicę, a za nią wszyscy, i wówczas na jeden moment cała Kanatna stała się jednolitym, babskim wyciem, tak iż trudno było się zorientować, kto tu zwariował, a kto nie. Dopiero wtedy ustało, kiedy subiekci ze sklepu fabrycznego złapali wariatkę, związali jej ręce i nogi sznurkami i oblali paroma wiadrami wody. Leżała na drodze wśród świeżej kałuży, mocno przyciskając gołą pierś do ziemi, podnosząc pięści skurczonych i zsiniałych rąk. Odwróciła twarz na bok i patrzyła dziko, bez mrugnięcia. Siwawe, mokre włosy oblepiły głowę, czyniąc ją strasznie małą; wciąż się wzdrygała. Z fabryki przybiegł przerażony mąż, z usmoloną twarzą, której nie zdążył umyć; bluzę miał tak samo usmoloną, lśniąca od smarów; oparzony palec lewej ręki był również obwiązany brudnym przetłuszczonym gałganem.

— Nastia! — ponuro i surowo powiedział pochylając się nad nią. — Co ty wyrabiasz? Co ci jest?

Milczała, drgała i patrzyła dziko nie mrugając. Mąż spojrzał na spuchnięte, czerwone ręce, ściągnięte bezlitośnie sznurem, rozwiązał je, dotknął palcami nagiego, żółtego ramienia. Już podjeżdżał dorożką policjant. Kiedy tłum zaczął się rozchodzić, dwóch nie poszło ku fabryce, jak wszyscy, lecz pozostało na Kanatnej i wolno ruszyło w stronę miasta. Szli, zamyśleni, równając krok, i milczeli. Przy końcu Kanatnej pożegnali się.

— A to ci wypadek! — powiedział jeden, — Wstąpisz do mnie?

— Nie — krótko odrzekł drugi i poszedł dalej.

Miał młodą, opaloną szyję, a spod czapki kędzierzawiły mu się jasnoblonde włosy.

VI

W domu gubernatorskim dowiedziano się o zagrażającej gubernatorowi śmierci nie wcześniej i nie później niż w innych miejscach i potraktowano to z dziwną obojętnością. Jak by bliskość zdrowego i mocnego człowieka przeszkadzała zrozumieć, co to jest

śmierć — jego śmierć; wyobrażano ją sobie raczej jako tymczasową jego nieobecność. W połowie września na skutek perswazji policmajstra, przekonywającego Marię Pietrowną, że pobyt w willi staje się niebezpieczny, przeniesiono się do miasta i życie popłynęło zwykłym, od wielu lat niezmiennym korytem. Urzędnik Kozłow, który sam nie lubił brudu i biurowego wyglądu mieszkania gubernatorskiego, nieomal samowolnie kazał wytapetować ściany salonu i bawialni, pobielić sufity oraz zamówił nowoczesne dekadentkie meble z zielonego dębu. W ogóle przyswoił sobie prawa dyktatora domowego, z czego wszyscy byli zadowoleni: i służba, która poczuła ożywczy prąd, i sama Maria Pietrowna, nie znosząca gospodarstwa i domowej krzątaniny. Pomimo całej przestronności dom gubernatorski był niewygodny: ubikacje i łazienka znajdowały się nieomal tuż przy bawialni, a potrawy z kuchni noszono przez oszklony, zimny korytarz obok okien jadalni i często można było zobaczyć, jak lokaje sobie wymyślają poszturchując się łokciami. Kozłow chciał zmienić to wszystko, musiał jednak odłożyć do następnego lata.

— Będzie zadowolony — myślał o gubernatorze, ale dlaczegoś wyobrażał sobie nie Piotra Iliicza, lecz kogoś innego; nie dostrzegał tego jednak, ogarnięty gorączką reformowania. Piotr Iljicz po dawnemu był ośrodkiem życia całego domu. Słowa: „jego ekscelencja sobie życzy”, „jego ekscelencja będzie się gniewać!” — nie schodziły domownikom z ust. Ale gdyby zamiast niego podstawiono kukłę ubraną w mundur gubernatorski i zmuszono ją do mówienia paru słów, nikt by zamiany nie zauważył: taką pustką formy, która straciła treść, wiało od gubernatora. Kiedy rzeczywiście na kogoś się gniewał i krzyczał, a ktoś był przerażony, zdawało się, że to wszystko na niby — i krzyki, i przestrasz — w rzeczywistości zaś nic podobnego się nie dzieje. Gdyby kogoś w tym czasie zabił — nawet sama śmierć nie wydawałaby się prawdziwa. Jeszcze żywy dla siebie, już umarł dla wszystkich. Ospale krzątano się

koło nieboszczyka czując chłód i pustkę, nie rozumiano jednak, co to znaczy. Myśl dzień po dniu zabijała człowieka. Czerpiąc siłę z powszechności, stawała się bardziej potężna niż maszyny, działa i proch; pozbawiała człowieka woli i oślepiła sam instynkt samozachowawczy. Oczyszczała wokół niego wolną przestrzeń dla ciosu, jak w lesie oczyszcza się przestrzeń dokoła drzewa, które się chce zrębać. Myśl go zabijała. Władczo wywoływała z mroku tych, co powinni byli zadać cios, tworzyła ich jak Stwórca. I niepostrzeżenie dla siebie ludzie odsuwali się od skazanego, pozbawiając go tej niewidocznej, lecz potężnej obrony, jaką dla życia poszczególnego człowieka stanowi życie wszystkich ludzi.

Po pierwszym liście anonimowym, gdzie gubernatora nazwano dzieciobójcą, minęło parę dni bez listów. A potem, jakby na skutek milczącej zмовy, posypały się jak z rozdartego worka listonosza i co rano na biurku gubernatora wyrastała sterta kopert. Jak wychodzący z wnętrzości dojrzwały płód, tak zabójcza, rozkazująca myśl, dotąd dosłyszalna tylko w głuchym biciu serca, dążyła niepoohamowanie na zewnątrz i zaczynała żyć swoim własnym, samodzielnym życiem. W różnych krańcach miasta, z różnych skrzynek pocztowych różni ludzie wyjmowali listy zagubione w masie innych; zbierały się potem w jednorodny stos i przynosił je jeden człowiek do tego, kto był ich jedynym celem. Gubernator dawniej również otrzymywał listy anonimowe, rzadziej z wymyślaniami i nieokreślonymi pogroźkami, przeważnie zaś z donosami i skargami, lecz nigdy ich nie czytał; teraz czytanie stało się koniecznością, taką samą, jak nie wygasająca myśl o wydarzeniu i o śmierci. Czytać je i myśleć trzeba było samotnie, kiedy nikt nie przeszkadzał.

Rzadko w dzień, a przeważnie wieczorem zasiadał w fotelu przed biurkiem, na którym leżały rozrzucone papiery i stała szklanka stygnącej herbaty, rozprostowywał ramiona, wkładał złote, mocno powiększające okulary i uważnie obejrzawszy kopertę obcinał ją wzdłuż brzegu. Teraz już nauczył się z samego wyglądu rozpoznawać te listy, gdyż pomimo różnorodności charakteru pisma, papieru i znaczków miały w sobie coś wspólnego, jak ci umarli w szopie. I nie tylko on, nawet szwajcar, odbierający osobistą korespondencję Piotra Iljicza, nieomylnie je poznawał. Każdy list czytał uważnie, z powagą, od początku do końca, i jeżeli jakieś słowo było niewyraźnie napisane, to długo wpatrywał się w nie i kombinował, aż je odczytał. Listy nieciekawe, względnie pełne nieprzyzwoitych wymyślań, darł; niszczył również listy, w których nieznanymi sympatycy ostrzegali go przed zamierzonym morderstwem. Ale inne oznaczał numerkiem i odkładał w jakimś niewyraźnie wyczuwanym celu.

Na ogół, pomimo zewnętrznych różnic stylu i stopnia znajomości ortografii, treść listów była nużąco jednostajna: przyjaciele ostrzegali, wrogowie grozili; wychodziło coś w rodzaju krótkich i nieudowodnionych „tak” i „nie”. Do słów „morderca” — rzucających przez jednych i „bohaterski obrońca porządku” — przez innych, już się przyzwyczaił: tak często, prawie niezmiennie powtarzały się w listach. Przyzwyczaił się też do tego, że wszyscy, zarówno przyjaciele, jak i wrogowie, jednakowo wierzyli, że śmierć jego jest nieunikniona. Tylko

zimno mu było i chciał się ogrzać, ale nie było czym: herbata wystygła — teraz dla czegoś zawsze podawali mu zimną. I zimny był wysoki, biurowy piec kaflowy. Już dawno, od chwili zamieszkania w tym domu, chciał zrobić kominek, ale nie zrobił, a stary piec źle grzał pomimo najusilniejszego palenia. Beznadziejnie potarłszy się plecami o zimne kafle, cokolwiek zaledwie letnie u dołu, przemierzał parę razy zimny gabinet, zacierał ręce i mówił swym wspaniałym basem dowódcy:

— Ależ zmarzluch się ze mnie zrobił!

Znowu zasiadał do listów, doszukując się w nich czegoś najważniejszego i najistotniejszego.

„Wasza Ekscelencjo! Jest pan generałem, ale i generałowie są śmiertelni. Jedni generałowie umierają własną śmiercią, drudzy gwałtowną. Pan, panie generale, umrze śmiercią gwałtowną. Mam zaszczyt pozostać pańskim pokornym sługą...”

Uśmiechnąwszy się — wtedy się jeszcze uśmiechał — chciał podrzeć starannie wykaligrafowany list, ale rozmyślił się, postawił na szerokim marginesie numer 43, 22, wrzesień 19.. r. i odłożył.

„Panie gubernatorze czy też w rzeczywistości paszo turecki! Jest pan złoczyńcą i najemnym zbirzem i ja mogę udowodnić całemu światu, że za zabicie robotników zdarł pan od akcjonariuszy okrągłą sumkę.”

Gubernator spaśował, zmiął list, zerwał okulary z zaczerwienionego dużego nosa i głośno powiedział, jakby walnął w bęben:

— Bałwan!

Potem wsunął ręce do kieszeni, odstawił łokcie i zaczął spacerować po pokoju gniewnym, miarowym krokiem. „Tak chodzą gubernatorzy.” Uspokoiwszy się, rozprostował list, przeczytał do końca, postawił z lekka drżącą ręką numer i ostrożnie odłożył.

„Niech sobie poczyta” — pomyślał o synu.

Ale tegoż wieczoru los posłał mu inny list, podpisany „robotnik”. Zresztą, prócz podpisu nic nie świadczyło

o pracowniku fizycznym, niewykształconym i godnym litości, jak ich sobie wyobrażał gubernator.

„W fabryce i w mieście mówią, że będzie Pan wkrótce zabity. Nie wiem ściśle, kto to robi, ale sądzę, że są to przedstawiciele jakiejś organizacji lub raczej ktoś z ochotników-obywateli głęboko oburzonych Pańską okrutną rozprawą z robotnikami siedemnastego sierpnia.

Przyznam się szczerze, że ja i niektórzy moi towarzysze są przeciwni tej decyzji; nie dlatego, oczywiście, żeby mi było Pana żal — przecież Pan sam nie oszczędzał nawet dzieci i kobiet — i myślę, że nikt w całym mieście Pana nie pożałuje, lecz po prostu dlatego, że zgodnie z moimi poglądami jestem przeciwnikiem zabójstwa tak samo, jak jestem przeciwnikiem wojny, kary śmierci, mordów politycznych i w ogóle wszelkiego zabijania. W walce o swój ideał, który polega na

«wolności, równości i braterstwie, obywatele winni korzystać ze środków, które nie są sprzeczne z tym ideałem. Zabijać zaś to znaczy posługiwać się zwykłymi środkami ludzi starego świata, których dewizą było «niewola, przywileje

i wrogość. Ze złego nic dobrego wyjść nie może i w walce, która jest prowadzona orężem, zawsze zwycięzcą będzie nie ten, kto jest lepszy, lecz ten, kto gorszy, to znaczy, kto jest bardziej okrutny, mniej oszczędza i szanuje indywidualność ludzką, nie przebiera w środkach, jednym słowem — jezuita. Jeżeli będzie strzelać człowiek porządny, to na pewno albo chybi, albo popęlni jakieś

głupstwo, na którym wpadnie, gdyż dusza jego sprzeciwia się temu, co czyni ręka. Sądzę, że z tego właśnie powodu tak mało jest w znanej nam historii udanych zamachów politycznych, ponieważ ci panowie, których chcą zabić, są łotrami znajdującymi się na wszystkich wykrętach, a ich zabójcy — to ludzie uczciwi, wobec czego wpadają. Niech Pan mi wierzy, Panie Gubernatorze,

że gdyby ci, co robią zamachy na ludzi podobnych do Pana, byli szubrawcami, to znaleźliby takie wybiegi i sposoby, które nie przyszłyby do głowy ludziom uczciwym, i dawno wykończyliby was wszystkich. Nawet rewolucję, zgodnie z moimi poglądami, uznają tylko jako propagandę idei w tym sensie, w jakim postępowali chrześcijańscy męczennicy, bo jeżeli robotnicy kiedyś zwyciężą, to szubrawcy tylko udadzą zwyciężonych i natychmiast wynajdą jakieś nowe szubrawstwo, oszwabiając swoich zwycięzców. Zwycięzać trzeba głową, a nie rękami, gdyż jeśli chodzi o głowę, to łotry są słabi; z tego właśnie powodu ukrywają przed biedakami książki, trzymając ich w ciemnościach niewiedzy, zbyt bowiem boją się o siebie. Jak Pan myśli, dlaczego przedsiębiorcy nie chcą dać ośmiogodzinnego dnia pracy? Sądzi Pan, że sami nie wiedzą, iż przy ośmiu godzinach wydajność nie będzie mniejsza niż przy jedenastu? Chodzi im jednak o to, że przy ośmiu godzinach pracy robotnicy staną się mądrzejsi od przedsiębiorców i przejmą ich sprawy. Uchodzą przecież za rozumnych tylko dlatego, ponieważ wszystkich oglupili, ale wobec naprawdę rozumnego człowieka grosza nie są warci. Proszę mi wybaczyć, że wdaję się w rozważania na takie tematy, czynię to dlatego, by opierając się na pierwszych moich słowach, gdy wypowiadam się przeciwko Pańskiemu zabójstwu, nie wziął mnie Pan za zdrajcę ogólnej sprawy ludzi uczciwych. Muszę jeszcze dodać, że siedemnastego ja i inni moi towarzysze, którzy podzielają moje przekonania, nie wyszliśmy na plac, gdyż dobrze wiedzieliśmy, czym się to skończy, i nie chcieliśmy robić z siebie głupców, wierzących, iż ludzie Pańskiego pokroju mogą być sprawiedliwi. Obecnie, rzecz jasna, i pozostali towarzysze zgodzili się z tym i mówią: «Teraz, jeżeli już pójdziemy, to nie prosić, a gromić», lecz według mnie i to jest głupie, więc powiadam: «Po co chodzić, wkrótce sami do nas przyjdą z ukłonem i łagodnymi słowami, a wtedy im pokażemy.» Wielce szanowny Panie! Przepraszam, że miałem odwagę zwrócić się do Pana ze słowem robotnika-samouka. Dziwi mnie jednak, że człowiek wykształcony i nie taki łotr jak inni mógł tak postąpić z nieszczęsnymi robotnikami,

którzy mu zaufali, i strzelać do nich. Może otoczy się Pan kozakami, zgromadzi szpiegów albo wyjedzie dokądś i w ten sposób uratuje życie, a wówczas moje słowa przyniosą Panu pożytek i wskażą drogę prawdziwego służenia interesom ludu. U nas w fabryce mówią, że został Pan przekupiony przez przedsiębiorców, ale ja temu nie wierzę, gdyż nasi przedsiębiorcy to nie są durnie i nie będą na darmo wyrzucać pieniędzy. Prócz tego wiem, że nie jest Pan łapownikiem i złodziejem, jak inni Pańscy koledzy, którzy potrzebują pieniędzy na harfiarki i szampana z truflami. Powiem nawet, że na ogół uczciwy z Pana człowiek..." Gubernator ostrożnie odłożył na biurko list, uroczyście zdjął z nosa zamglone okulary, wolno przetaił je końcem chustki i z dumnym szacunkiem powiedział:

— Dziękuję panu, młodzieńcze!

Przespacerował się wolno po pokoju i ważko dodał zwracając się do zimnego pieca:

— Życie możecie mi zabrać, do was należy, ale mój honor...

Nie dokończył i odrzuciwszy w tył głowę, nieco komiczny w swej ważności, wrócił do biurka.

„...Powiem nawet, że na ogół uczciwy z Pana człowiek, który z własnej inicjatywy nie skrzywdzi nawet kury, jeżeli mu tego nie

każą. Ale jak Pan, będąc człowiekiem uczciwym, może ulegać takim rozkazom — oto dla mnie pytanie! Wielce Szanowny Panie, lud to nie kura. Lud — to rzecz święta, i gdyby Pan rozumiał, czym jest lud z jego cierpieniem, to wyszedłby Pan na ten sam plac, pokłonił się do ziemi i błagał o przebaczenie. Niech Pan tylko pomyśli: z rodu w ród, z pokolenia w pokolenie, od tych pierwszych niewolników, którzy budowali piramidy z kaprysu tyrana, wywodziśmy swą egzystencję, i tak jak wśród was jest rodowa szlachta, to znaczy ciemniźciele, tak wśród nas są rodowi robotnicy, czyli rodowi niewolnicy. I niech Pan

pomyśli, że przez te wszystkie tysiąclecia bito nas i ciemiono i, jak daleko spojrzełbym w przeszłość moich przodków, nic tam nie dojrzę prócz łez, rozpacz i barbarzyństwa. I wszystko to osadzało się na duszy, wszystko zachowało się i jako jedyny kapitał przekazywało z ojca na syna, z matki na córkę. Niech Pan odsłoni duszę prawdziwego robotnika czy chłopca — przecież to okropność! Jeszcze przed urodzeniem spotyka nas krzywda, a kiedy wchodzimy w życie, od razu trafiamy do jakiejś nory i pijemy krzywdę, żyjemy się krzywdą i odziewamy się krzywdą. Podobno przed trzema laty kazał pan wychłostać jakichś chłopów. Czy Pan rozumie, co Pan uczynił? Sądzi Pan, że tylko ich tyłki Pan obnażył? Obnażył Pan ich tysiącletnią niewolniczą duszę: nieboszczyków i przysze, jeszcze nie zrodzone pokolenia wychłostał Pan różgami. I chociaż Pan jest generałem i jego ekscelencją, lecz powiem Panu brutalnie: nie jest Pan godzien przywrzeć ustami do chłopskiego tyłka, jak do świętości, a co dopiero chłostać go różgami! A kiedy przyszli do Pana robotnicy, to jak Pan myśli, kto to przyszedł? Przyszli zmartwychwstali niewolnicy, którzy budowali piramidy, przyszli ze swymi tysiącletnimi odciskami i łzami po miłość, po radę i pomoc, jak do wykształconego i humanitarnego człowieka XX wieku. A jak Pan z nimi postąpił? Ech, Panie! Przecież Pański dziadek był dozorcą tych niewolników i chłostał ich pletnią przekazując Panu tę głupią nienawiść do klasy robotniczej. Wielce Szanowny Panie, lud się budzi. Na razie przewraca się tylko we śnie, ale pod Pańskim domem trzeszczą już słupy! A jak się całkiem zbudzi? Moje słowa są dla Pana nowe, niech się Pan nad nimi zastanowi. Po czym proszę o wybaczenie, że Pana niepokoiłem, i w imię «braterstwa» życzę, żeby Pana nie zabili."

„Zabiją” — pomyślał gubernator składając list. Przypomniał sobie na moment robotnika Jegora, jego szpakowate kędziory, i zatonął w czymś nieforemnym i olbrzymim jak noc. Nie było w tym ani myśli, ani sprzeciwu, ani pogodzenia się. Stał przy zimnym piecu — na stole paliła się lampa pod zielonym abażurem z materiału — gdzieś daleko grała na fortepianie córka, Zina; szczekał mops gubernatorowej, którego ktoś pewno drażnił. Lampa się paliła. Lampa się paliła.

VII

Kilka następnych dni minęło bez listów. Jakby na skutek jakiejś umowy listy nagle się urwały i cisza, która zapadła, była niezwykła i straszna. W tej nagłości milczenia nie wyczuwało się końca. Coś trwało jeszcze w ciszy, jakby myśl weszła w nową fazę i coś tajemniczo tworzyła. Szybko biegły dni, jak machnięcia olbrzymich skrzydeł: machną do góry — dzień, opadną w dół — noc.

Dwukrotnie o niezwykłej porze gubernator przyjął policmajstra Sandacza. Podstawiając w przedpokoju ramiona szwajcarowi, by ściągnął z nich palto, Sandacz wymyślał mu w półobrocie energicznym szeptem, jak swemu policjantowi lub dorożkarzowi. Już po zdjęciu palta, naciągając nową rękawiczkę, pochylał ulizaną głowę do puszystych bokobrodów szwajcara, szczyrzył zgnię, zakopcone tytoniem zęby i pod sam nos podsuwał mu na pół urękawiczoną dłoń ze sterczącymi, płaskimi palcami. To samo, chociaż trochę łagodniej, zrobił z lokajem. Potem przybrał minę światowca i wszedł na górę. Dawniej nie ośmieliłby się wymyślać służbie gubernatora. Ale teraz jakoś uznał, że wymyślać można, a nawet należy. Wczoraj wieczorem przy podjeździe domu gubernatorskiego aresztowano bardzo podejrzanego osobnika, wyśledzonego przez agentów; rano z daleka towarzyszył gubernatorowi w jego pieszym spacerze, a potem przez cały dzień pętał się koło domu, zaglądał do dolnych okien, krył się za drzwiami i w ogóle zachowywał się bardzo podejrzanie. Przy aresztowanym ani broni, ani żadnych podejrzanych przedmiotów lub papierów nie znaleziono. Jak się okazało, był to mieszczanin Ipatikow, z zawodu kuśnierz. Tłumaczył się jednak mętnie i

kłamliwie, zapewniał, że tylko raz przeszedł koło domu; najwidoczniej coś ukrywał. Podczas rewizji w jego pracowni nie znaleziono nic prócz zwykłych ścinków futra, rozpoczętego gimnazjalnego płaszcza podbitego futerkiem tudzież innych akcesoriów zawodu, jak również gospodarstwa domowego, ani broni, ani papierów. Ale wypadek wyglądał podejrzanie i niewyraźnie. I nikt ze służby gubernatora, ani szwajcar, ani inni nie zauważyli tego osobnika, chociaż dziesięć razy przeszedł obok frontowego wejścia. A w nocy jeden z agentów na próbę szarpnął klamką drzwi i znalazł je nie zamknięte, tak iż mógł swobodnie wejść do portierni. Dla pozostawienia dowodu zrobił rysę na ścianie i niepostrzeżenie wyszedł. To, że drzwi były nie zamknięte, szwajcar tłumaczył roztargnieniem. Ale w takim czasie, kiedy wszyscy spodziewają się przestępstwa, podobne niedbalstwo było niewybaczalne.

— Jestem w fatalnej sytuacji, pani gubernatorowo — skarżył się Sandacz przyciskając do uperfumowanej piersi białą rękawiczkę. — Jego ekscelencja kategorycznie zrzeka się ochrony i nawet nie pozwala o niej mówić. Agenci, za przeproszeniem, nogi potracili chodząc za jego ekscelencją i wszystko to nie ma znaczenia, ponieważ każdy szubrawiec może zza węgła albo nawet przez płot cisnąć kamieniem w jego ekscelencję. Jeżeli, broń Boże, coś się zdarzy, to powiedzą: „Policmajster winien! Policmajster nie dopilnował!” Ale cóż on może poradzić wobec świętej woli jego ekscelencji? Proszę postawić się na moim miejscu, pani gubernatorowo! Po prostu, przepraszam za wyrażenie, choć do dymisji się podawaj, wasza ekscelencjo!

Okazało się, że Sandacz ma już gotowy plan: niech gubernator weźmie dwu- lub trzymiesięczny urlop i wyjedzie za granicę do wód w celu poprawy zdrowia. W mieście wszystko na zewnątrz toczy się spokojnie, w Petersburgu gubernator jest dobrze widziany i nie będą mu robili trudności.

— W przeciwnym wypadku za nic nie mogę ręczyć, wasza ekscelencjo — z uczuciem zakończył policmajster. — Istnieje granica sił ludzkich, wasza ekscelencjo, i z ręką na sercu mówię: inaczej za nic nie ręczę. Miną dwa, trzy miesiące — i wszystko znakomicie ulegnie zapomnieniu. A wtedy prosimy do nas, wasza ekscelencjo. Do tego czasu i opera włoska tu przyjedzie: my będziemy słuchać, a wasze ekscelencje niech sobie odpoczywają na zdrowie. — Cóż to za opera? — zapytała gubernatorowa, ale propozycja policmajstra przypadła jej do gustu, bowiem bardzo się niepokoiła.

Na dole policmajster znowu natarł na szwajcara tym razem już głośno, nie kępując się. — Ja ci pokażę! Ja ci twoje bokobrody przytnę, ty, tłusta mordo! Zapuścił sobie, psubrat, bokobrody jak tajny radca i myśli, że wolno mu drzwi nie zamykać! Ty mi potańcujesz, ty!... Tegoż wieczoru Maria Pietrowna zaczęła prosić męża, by wyjechał z nią i z dziećmi za granicę.

— Proszę cię, Pierre — mówiła omdlewającym głosem i przysłaśniała oczy dużymi brązowymi powiekami. Żółta, upudrowana skóra zwisała jej na policzkach jak u wyżła. — Wiesz dobrze, jakie mam chore nerki i koniecznie potrzebny mi jest Karlsbad.

— Nie mogłabyś pojechać z dziećmi beze mnie?

— Ach, co ty mówisz, Pierre! Będę o ciebie tak niespokojna! Proszę cię!

Nie powiedziała, co ją tak będzie niepokoić, ale i tak wszystko było zrozumiałe. Ku jej zdziwieniu Piotr Iljicz chętnie przystał na wyjazd, chociaż do sprzeciwu i oporu, pominiawszy wyjątkowe okoliczności, wystarczyło, że go o to prosiła, Tak zwykle u nich bywało.

„To nie tchórzostwo, nie — myślał gubernator. — Nie ja wymyśliłem ten wyjazd i może naprawdę dobrze, by się poleczyła: żółta jest jak cytryna. Mają dość okazji, by mnie zabić, a jeżeli do tego czasu nic nie zrobią, to znaczy, że ja mam rację, a nie oni. Potem pójdę na emeryturę, wyjadę i urządzę sobie piękną oranżerię.”

Ale tak myśląc nie wierzył ani w zagranicę, ani w oranżerię, i może właśnie dlatego zgodził się na wyjazd. Wyraziwszy zgodę natychmiast o tym zapomniał, jakby sprawa dotyczyła kogoś innego, postronnego. Zwlekał z napisaniem podania, wyznaczał dzień, kiedy je ma napisać, i przypominał sobie o tym po dwóch dniach. Znowu wyznaczał i znowu uparcie zapominał. Uspokojona decyzją wyjazdu gubernatorowa niezbyt energicznie go przynaglała. Tym razem jakoś spóźniła się ze swymi jesiennymi toaletami i musiała mieć czas, by skończyć z krawcowymi. Nie była również gotowa Zizi. W milczącej pustce, która ogarnęła gubernatora po nagłym ustaniu listów, wyczuwał coś nieostatecznego — jakby echo cichego głosu brzmiącego gdzieś z daleka. Tak samo wyczuwa się go w pustym pokoju, kiedy mówią za ścianą i nie słychać głosów. Gdy nadszedł wreszcie list — ostatni spóźniony list — wziął go, jakby tylko na to czekał i zdziwił się jedynie, że był w kopercie o delikatnym kolorze z niezabudką na odwrocie. Nadszedł nie w dzień, jak inne, wrzucane do skrzynki z wieczora lub nocą, lecz z pocztą wieczorną, a więc został wrzucony przed paroma godzinami. Niewielki arkusik był także delikatnie zabarwiony, a u góry znajdowała się niebieska niezabudka. Charakter pisma wyraźny, staranny, ale pod koniec linijki często opadały w dół, jakby osoba pisząca niezbyt ufała swej umiejętności prawidłowego przenoszenia słów i wolała dopisywać do końca małymi, zsuwającymi się literkami. Czasami jeszcze daleko do brzegu kartki, przewidując, że słowa się nie zmieszczą, zaczynała już wyginać wiersz, co przypominało śnieżną górkę, po której gęsiego toczą się na saneczkach dzieci z najmniejszymi na przodzie. List podpisany był „Gimnazjalistka”.

Wczoraj przyśnił mi się Pański pogrzeb. Postanowiłam napisać do Pana, chociaż to niedobrze i obraża tych nieszczęsnych robotników i dziewczynki, które Pan zabił. Ale z Pana także nieszczęśliwy człowiek, godny współczucia, i dlatego piszę ten list. Przyśniło mi się, że chowają Pana nie w czarnej trumnie, jak starych i w ogóle starszych ludzi, lecz w białej, jak dziewczęta, i niosą Pańską trumnę przez ulicę Moskiewską policjanci nie na ramionach, lecz na głowach. I za trumną szli tylko policjanci, krewnych zaś Pańskich nie było, i w ogóle nikogo nie było z publiczności, tak iż nawet furtki i okna, przed którymi Pana przenoszono, miały zamknięte okiennice jak w nocy. Zrobiło mi się tak strasznie, że się obudziłam i zaczęłam myśleć, o czym teraz mam napisać do Pana? Pomyślałam: zapewne rzeczywiście nie ma Pan nikogo, kto by Pana oplakiwał po śmierci. Ludzie, którzy Pana otaczają, to zatwardziali egoiści i myślą tylko o sobie, a kiedy Pana zabijają, to nawet może będą radzi, gdyż sami chcieliby zająć Pańskie stanowisko. Pańskiej żony nie znam, ale nie myślę, aby w tym środowisku, przeżartym pychą i pogonią za zbytkiem, mogły istnieć wrażliwe i dobre kobiety. Spośród ludzi uczciwych nikt nie pójdzie Pana odprowadzać, gdyż wszyscy są oburzeni Pańskim postępkami z robotnikami, a od pewnego pana słyszałam, że nawet chciano Pana wykluczyć z klubu, ale boją się represji ze strony rządu. Nabożeństwa żałobne nic nie są warte, ponieważ nasz archirej, jak Pan sam wie, gotów jest odprawić panichidę nawet po psie, byleby mu za to dobrze zapłacono. I kiedy pomyślałam, że zapewne Pan sam o tym dobrze wie, to zrobiło mi się strasznie Pana żal, jakbym znała Pana osobiście. Widziałam Pana tylko dwa razy: raz bardzo dawno na ulicy Moskiewskiej, a drugi raz — na naszej akademii, kiedy przyjechał Pan z archirejem. Ale Pan, oczywiście, mnie nie pamięta. Przysięgam, że będę się za Pana modliła i oplakiwała, jakbym była Pańską córką, gdyż bardzo mi Pana żal.

P. S. Proszę spalić ten list. Bardzo mi Pana żal. Bardzo.

Gimnazjalistkę tę bardzo polubił. Późno wieczorem, już przed snem, przeszedł przez ciemny salon i wyszedł na balkon, ten sam, skąd dał znak białą chustką. Zaczęły się już jesienne niepogody i ślota. Gęsty jesienny mrok zappełnił noc. Ciężar tego mroku przypominał, jak daleko jest słońce, jak dawno odeszło i jak nieprędko wróci. W oddali, na lewo, przy

podjeździe, paliły się dwie jasne latarnie z reflektorami. Białe światło wpijało się w ciemności, lecz ich nie rozpraszało: stały tuż obok spokojne, gęste, ciężkie. Miasto zapewne już spało, gdyż prócz rzadkich latarni na ulicach nie widać było ani jednego oświetlonego okna i nie słychać było turkotu kół. Pod jedną z latarni coś niewyraźnie błyszczało — chyba kałuża. W gimnazjum dawno wznowiono zajęcia, a ona, zapewne, odrobiła już lekcje i śpi — gdzieś w tej czarnej przestrzeni, pełnej milczenia. Stamtąd nadsyłają mu listy i pogróżki, stamtąd też nadejdzie śmierć... Ale tam jest dziewczynka, która śpi i która będzie go oplakiwać. Jak spokojnie, jak ciemno — jak cicho!

VIII

Na dwa tygodnie przed śmiercią gubernatora do jego domu dostarczono przesyłkę zaszytą w płótno i owartościowaną na 3 ruble. Kiedy ją otworzono, okazało się, że jest to piekielna maszyna — bomba nadziana prochem i tak nastawiona, by wybuchła przy otwieraniu. Ale niedoświadczone ręce jakiegoś amatora, który zaledwie słyszał o istnieniu podobnych rzeczy, wykonały ją źle i w żaden sposób nie mogła wybuchnąć. W tej naiwności bomby tkwiło coś okrutnego i przerażającego: jakby ślepa śmierć wysuwała macki i macała nimi po ciemku. Policmajster podniósł alarm i gubernatorowa wymogła, by Piotr Iljicz tegoż jeszcze dnia wysłał podanie do Petersburga o urlop chorobowy, sama zaś pojechała do krawcowej, a prócz tego sama wysłała napisany po francusku list do syna, pełen okropności.

Nikt nie zauważył, kiedy to się stało — czy tego dnia, czy trochę wcześniej lub później: w gubernatorze zaszła dziwna i zdecydowana zmiana, która stworzyła zeń nową postać miast znajomej, zwykłej. Był niby taki sarn, lecz wyraz jego twarzy stał się szerszy i dlatego zdawało się, że twarz jest inna. Uśmiechała się wtedy, kiedy dawniej była spokojna, chmurzyła się, kiedy dawniej się uśmiechała. Była obojętna i znudzona, kiedy dawniej wyrażała zainteresowanie i uwagę. I tak samo strasznie szczerzy stał się w swoich uczuciach i w ich wyrażaniu: milczał, kiedy chciało mu się milczeć, odchodził, kiedy chciał odejść, spokojnie odwracał się od rozmówcy, gdy tamten stawał się nudny. I ci, którzy w ciągu wielu lat byli pewni jego miłości i sympatii, znali wszystkie jego uczucia i nastroje, nagle poczuli się opuszczeni, odrzuceni gdzieś na bok, gubiący się w jego uczuciach i nastrojach. Znikły nagle wszystkie uśmiechy, ukłony, uściski rąk i życzliwe spojrzenia, zginęły wszystkie te przelotne wstawki:

„Proszę bardzo, kochanie, zrobi mi pan wielką uprzejmość, mój drogi.” Wszystko, co stanowiło znane oblicze człowieka. Ludzie byli zdumieni dziwną, aż straszną nowością tego, co ujrzeli. Tak zapewne zwierzęta, które zwykły myśleć, że ubiór stanowi samego człowieka, są zdumione, gdy zobaczą go nago.

Gdy tylko przestał być uprzejmym, od razu rozpadła się więź od wielu lat łącząca go z żoną, dziećmi, z otoczeniem — jakby trzymała się tylko na uśmiechach i ukłonach i znikła wraz z konwencjonalnym całowaniem rąk. Nie osądził ich, nie znienawidził, nawet nie zauważył czegoś nowego, odpychającego — po prostu wypadli z jego duszy, jak wypadają zęby, jak wypadają włosy, jak odpada martwa skóra: bezboleśnie, niewyczuwalnie, spokojnie. Stał się śmiertelnie samotny po zrzuconiu osłony uprzejmości i nawyków i nawet tego nie poczuł — jakby zawsze, w ciągu wszystkich dni długiego i różnorodnego życia, samotność była naturalnym, niezniszczalnym jego stanem, jak samo życie.

Rano zapominał się przywitać, wieczorem pożegnać, i kiedy żona podsuwała mu rękę, a córka Zizi gładkie czoło do pocałunku — jakby nie rozumiał, co trzeba zrobić z tą ręką i gładkim czołem.

Kiedy na śniadanie przychodzili goście — wicegubernator z małżonką albo Kozłow — nie podnosił się na ich powitanie, nie robił uradowanej twarzy, lecz spokojnie kontynuował

jedzenie. Skończywszy jeść, nie pytał Marii Pietrowny o pozwolenie opuszczenia stołu. Po prostu wstał i odchodził.

— Dokąd, Pierre? Posiedź z nami. Smutno nam bez ciebie. Zaraz będzie kawa...

Spokojnie odpowiadał:

— Nie, lepiej pójdę do siebie. A kawy nie chcę. Niegrzeczność odpowiedzi zatracala się w szczerości

i prostocie. Nie chciał oglądać nowych sukien Zizi, nie wychodził do gości, pozostawiał gubernatorowej wynajdywanie pretekstów i zupełnie przestał zajmować się sprawami służbowymi; nie podając powodu wymawiał się od wysłuchiwanie meldunków. Raz na tydzień przyjmował jednak interesantów, uważnie wysłuchując każdego; z zainteresowaniem cokolwiek niegrzecznym oglądał petenta od stóp do głów.

— Jest pan pewien, że tak będzie lepiej? — pytał po wysłuchaniu.

Otrzymawszy zdziwioną, lecz potwierdzającą odpowiedź obiecywał zadośćuczynić prośbie. Zapewne nie myślał w tym czasie o zasięgu swej władzy, bądź też miał o niej przesadne wyobrażenie, dość że często rozstrzygał kwestie, które mu nie podlegały. Wskutek tego nowy gubernator musiał długo parać się z powstałą gmatwaniną, tym bardziej, że sporo spraw miało charakter niedopuszczalnej intrygi.

Wieczorami, by nieco rozproszyć zły nastrój męża, Maria Pietrowna przychodziła do niego do gabinetu, dotykała mu czoła sprawdzając, czy nie jest gorące, i zaczynała mówić o zagranicy. Po prostu i nieuprzejmie oddalał ją:

— No już dobrze, idź sobie! Chcę być sam. Masz przecie swoje pokoje i ja do ciebie nie wchodzę.

— Jakaś ty się zmienił, Pierre!

— Bzdura, bzdura! — mówił tubalnym, komenderującym basem i opierał się plecami o zimny, nie napalony piec. — Idź już, idź, i uspokój swego mopsa. Jego szczekanie słycać w całym domu.

Z dawnych przyzwyczajzeń pozostały mu tylko karty. Dwa razy w tygodniu grywał w winta o małą stawkę i grał z widocznym zadowoleniem, poważnie, rzeczowo, a kiedy partner się mylił, grzmiąco mu wymyślał:

— O czym pan myśli, szanowny panie! Przecież pokazywałem panu karo! — ryczał wymawiając „ka-ro”, jakby walił w bęben.

Maria Pietrowna słuchała z uśmiechem słów męża i z łagodnym pobłażaniem kiwała głową. Żółte policzki zwiślały jej jak u wyzła, z twarzy obsypywał się puder, a brązowe, duże, wypukłe powieki opadały spod czoła, jak żelazne żaluzje w sklepie, i znów się unosiły. I jej, i innym zdawało się w tej chwili

rzeczą niemożliwą, by ktoś ważył się zabić człowieka, który tak gra w karty.

Przez całe dwa tygodnie, do samej śmierci, wciąż czekał. Zapewne przelatywały przez jego głowę i inne myśli, zwykłe, życiowe: o przeszłości, powszednie stare myśli człowieka, któremu dawno zeszywniały mięśnie i mózg; zapewne myślał o robotnikach i o tym smutnym, strasznym dniu, ale wszystkie te rozmyślania, mętne i niegłębokie, mijały szybko i znikwały natychmiast ze

świadomości, jak lekka fala na rzece po przelotnym wietrze. Bezdenne, milczące oczekiwanie stało jak spokojna, czarna woda odmetu. Zdawało się, że zarówno z myślami, jak i z ludźmi, łączyła go tylko uprzejmość i nawyki, a kiedy uprzejmość i nawyki odpadły, zniknęły również myśli. W głębi swej istoty był tak samo samotny jak w domu.

Czekał. Jak zwykle, wstał o siódmej, oblewał się lodowatą wodą, pił mleko, o ósmej już wychodził na zwykły spacer. Za

każdym razem przekraczając próg swego domu spodziewał się, że już go z powrotem nie przekroczy, i dwugodzinny spacer przekształcał się w jakieś nieskończone spadanie w przepaść. Odziany w generalski płaszcz z czerwoną podszewką, wysoki, barczysty, marsowy,

z siwą głową, nieco odrzuconą w tył, w ciągu dwóch godzin, jak majestatyczne widmo, krążył po mieście — wzdłuż szerniałych od deszczu drewnianych domków, wzdłuż nie kończących się parkanów i pustkowi, obok magazynów i sklepów z przemarzniętymi, nisko kłaniającymi się subiektami. Czy to świeciło ślepawie słońce październikowe, czy mżył uparty, nudny deszcz, generał niezmiennie ukazywał się na ulicach — majestatyczne i smutne widmo, kroczące miarowymi, twardymi krokami, nieboszczyk, zdążający ceremonialnym marszem do grobu. Połyskując czerwoną podszewką rozpiętego płaszcza, stąpał wprost po błocie i kałużach, na przełaj przecinał ulice nie dostrzegając ani salutujących policjantów, ani pojazdów, których ruch wstrzymywał. Gdyby z góry dało się wyśledzić jego codzienną drogę oczekiwania, to wyglądałaby jak skomplikowany splot prostych i krótkich linii, krzyżujących się ze sobą, splątanych w kłujący, spazmatycznie wygięty kłębek.

Mało spoglądał na boki i nigdy się nie oglądał. Wątpliwe jednak, czy i przed sobą widział cokolwiek, pochłonięty bezdennym, czarnym oczekiwaniem: wiele ukłonów pozostawiał bez odpowiedzi i wiele przerażonych oczu spotkał i przepuścił przez siebie jego ślizgający się nie widzący wzrok, prosty, jak jego kroki. A kiedy już został zabity i dawno pochowany, i nowy gubernator,

młody, uprzejmy, otoczony kozakami, szybko i wesoło pędził w powozie przez miasto — wielu przypominało sobie to dwutygodniowe niesamowite widmo, zrodzone przez pradawne prawo: siwego człowieka w generalskim płaszczu kroczącego prosto przez błoto, jego odrzuconą w tył głowę, nie widzący wzrok — i czerwoną, jedwabną podszewkę, jaskrawo odbijającą się w milczących kałużach.

Męczyły go ludne, centralne ulice, z ich natarczywą ciekawością; częściej pograżał się w brudne, głuche zaułki, z trzykiennymi domkami, płotami i wąskimi, śliskimi drewnianymi mostkami zamiast chodników. Przez wszystkie te dni pragnął zajrzeć na Kanatną i przejść przez całą ulicę tam i z powrotem, od krańca do krańca, ale nie zdecydował się. Zbyt wydawało mu się

krępujące i straszne — straszniejsze od śmierci. Dziwił się, jak to dawniej, we wrześniu, tak po prostu i bez lęku przejeżdżał tą ulicą i chciał nawet kogoś spotkać, by mu się uklonić. Ale jedną ulicą chadzał codziennie i mijał ją wolno podobny do spokojnie spacerującego starego generała, dobrodusznego i

trochę dziwaka. Ulica ta prowadziła do gimnazjum żeńskiego. Rankami, o dziewiątej, przechodziło nią dużo gimnazjalistek. Z szacunkiem i poważnie pierwszy kłaniał się dziewczętom, tym najmniejszym, które miały króciutkie, do kolan, brązowe sukienki, cieniutkie nóżki i olbrzymie tornistry, one zaś odpowiadały mu, zmieszane. Jego krótkowzroczne oczy nie odróżniały twarzy i wszystkie te dziewczątka i podlotki, zgrabne dziewczuszki, zdawały mu się jednakowymi różowymi płatkami w pąku. Minąwszy ostatnią, cichutko uśmiechał się pod wąsem i patrzył filuternie, a za węglem znowu się przekształcał w nieboszczyka idącego ceremonialnym marszem do grobu.

Podczas pierwszych dni, zgodnie z tajnym rozkazem policmajstra, szło za nim w pewnym dystansie dwóch agentów, których nie dostrzegał, gdyż nie oglądał się za siebie. Z początku sumiennie za nim chodzili, ulegając wszystkim jego kapryśnym ruchom, wkrótce jednak zaczęli pozostawać w tyle: było im jakoś głupio chodzić i patrzeć na plecy człowieka, który bez sensu kręci się w najbardziej niebezpiecznych punktach miasta. To zatrzymywali się przy znajomych, to gadali z policjantami, to na kwadransik wpadali do knajpy i czasami na całą godzinę tracili z oczu gubernatora.

— I tak nic nie poradzimy — mówił usprawiedliwiający się jeden z nich, podobny do urzędnika konsystorza, wygolony, schludny i w najwyższym stopniu trzeźwy jegomość. Pośpiesznie przeżuwał gorący pierożek i

jeszcze go nie połknawszy unosił lewą ręką metalową pokrywę z rynienki, by wydostać nowy. — Jeżeli ktoś ze starości dostał bzika i sam pakuje się na rożen, to proszę mi powiedzieć, co można z tym zrobić?

— Ano tylko dla formy — powiedział bufetowy.

— A Sandacz? — spytał drugi, wąsaty, ponury, podobny do zapijaczonego obywatela ziemskiego, w rzeczywistości zaś eks-szuler, który miał pecha.

Ponuro, jak pies kielbasę, łykał gwałtownie śledzia oraz wszystko, co mu wpadło pod rękę; zdawało się, że je wolno, w rzeczywistości jednak pochłaniał szybko i dużo. Wódkę również tak pił, że nigdy nie był pijany, ale też nigdy nie miał jej dość.

— No cóż, Sandacz sam chyba rozumie, że nie jesteśmy aniołami stróżami z nieba.

— To niby jak koń podczas pożaru: ciągną go, a ten się upiera i raczej się spali niż pójdzie — powiedział bufetowy.

— Nie aniołowie z nas — wzdychając powtórzył pierwszy.

Istotnie nie byli podobni do aniołów ci dwaj przygnębieni ludzie i nie ich ręce mogłyby powstrzymać górę obsuwającą się na człowieka.

Gdy gubernator wracał do domu i przekraczał próg, nie odczuwał radości i nawet nie myślał, że oto jeszcze jeden dzień przeżył. Akceptował to bezmyślnie, jakby zapominając nawet o znaczeniu swego spaceru, i czekał na następny dzień, pełen ogromnego, ciemnego wyczekiwania. Puste, bezczynne dni mijały strasznie szybko, ale czas nie posuwał się naprzód: tak jakby mechanizm, podający nowe dni, zepsuł się i zamiast dnia następnego podsuwał stary, wciąż ten sam. I kalendarz na biurku, z którego sam zawsze zdzierał kartki, najczęściej z wieczora, jakby przywołując następny dzień — zamarł nieruchomo na jakimś starym, dawno minionym dniu. Spoglądał czasami na tę zastygłą, czarną cyfrę i, nawet nie domyślając się, o co chodzi, czuł palenie w piersi, coś w rodzaju lekkich mdłości i szybko odwracał wzrok.

— Bzdura! — mówił gniewnie. Teraz gdy był sam często wymawiał głośno oderwane słowa, niepowiązane z żadną określoną myślą, a zwłaszcza często powtarzał dwa słowa: „bzdura” i „hańba”.

Śmierci się nie bał i wyobrażał ją sobie tylko od strony zewnętrznej: oto ktoś do niego strzeli, on upadnie; potem pogrzeb, muzyka, niosą order, i to wszystko. Chciał ją spotkać po męsku. Zupełnie nie myślał o tym, czy będzie jakieś życie po śmierci i sąd. Dla niego tu się wszystko kończyło. Jadł dobrze, ze zwykłym apetytem i spał mocno, bez snów. Ale kiedyś w nocy — było to na trzy dni przed zabójstwem — przyśniło mu się zapewne coś złego i obudził się od własnego głuchego i ochryplego jęku.

Usłyszał ten niezwykły i straszny głos, napotkawszy oczami mrok, poczuł śmiertelne przerażenie i słabość. Naciągnął kołdrę na głowę, skulił się w kanciasty kłębek, podciągnął kościste kolana pod brodę i tak jakby w ciągu jednej chwili przeszedł całą powrotną drogę od starości do dzieciństwa — rozplakał się cicho i gorzko i zaczął błagać mokrą, ciepłą, miękką poduszkę:

— Zlitujcie się nade mną! Niech ktoś przyjdzie do mnie, niech przyjdzie! Zlitujcie się nade mną, o-o-o!

Ale pozostało mu duże, stare ciało i donośny, gruby głos. Wkrótce przez łzy wyczuł całego siebie, swą dziwną pozę i umilkł.

Długo leżał w milczeniu wciąż w tej samej dziwnej pozycji i patrzył szeroko otwartymi oczami w mrok pod kołdrą.

Nazajutrz rano znowu włożył generalski płaszcz i jeszcze przez dwa dni migąła odbijając się w kałużach czerwona podszewka i krążyło ulicami miasta majestatyczne widmo, nieboszczyk zdążający ceremonialnym marszem do grobu.

Odbyło się to prosto i szybko, jakby przesunął się obraz w panoramie. Na skrzyżowaniu ulic przy wylocie na mały, brudny plac, gdzie w piątce handlowano sianem, czyjś niezdecydowany głos zawołał:

— Wasza ekscelencjo!

— Słucham?

Zatrzymał się i odwrócił głowę: drogą od głuchego płotu, ślizgając się po błocie, pośpiesznie zbliżali się dwaj osobnicy, jeden w wysokich butach z cholewami, drugi w trzewikach bez kaloszy, lecz z podwinętymi spodniami. Widocznie ziąb go brał od przemoczonych nóg: twarz miał zieloną i zmizerowaną, a jasne włosy jakby oddzielały się od skóry. W lewym ręku trzymał

zwinętą kartkę papieru, a prawą głęboko wsadził do kieszeni.

Od razu wszystko stało się zrozumiałe: dla niego, że nadeszła śmierć, dla nich — że on o tym wie.

— Przepraszam — powiedział jeden i twarz mu drgnęła.

— Podanie? W jakiej sprawie? — tak samo niepotrzebnie, ale jakby czując się w obowiązku wziąć udział w grze, spytał gubernator. Ręki jednak po papier nie wyciągnął.

Tamten wciąż jeszcze trzymając w lewej ręce papier, który nikogo nie mógł wprowadzić w błąd, i nie oddając go gubernatorowi, prawą ręką wyciągnął zaplątany w podszewce rewolwer, marszcząc się z wysiłku.

Gubernator szybko, z ukosa, rozejrzał się na wszystkie strony: brudny, pusty plac z wdeptanymi w błoto żdźbłami siana, głuchy płot. I tak już za późno.

Westchnął krótkim, lecz okropnie głębokim oddechem i wyprostował się bez strachu, ale i bez wyzwania; było jednak w czymś, może w cienkich zmarszczkach na dużym, starczo mięsistym nosie, nieuchwytnie, ciche i pokorne błaganie o litość. I smutek. Sam o tym nie wiedział i nie dojrzeli go tamci ludzie. Padł od trzech nagłych wystrzałów, które zwały się w jednolity, głośny trzask.

Po trzech minutach przybiegł policjant, za nim agenci i przechodnie, jakby wszyscy kryli się gdzieś w pobliżu, za rogiem,

oczekując końca. Trupa osłonięto, a po dziesięciu minutach jechała już karetka szpitalna z czerwonym krzyżem i po całym

mieście pukały jak kamienie krzyżujące się pytania i odpowiedzi:

— Zabity?

— Na miejscu.

— Kto? Złapali?

— Nie, uciekli. Nie wiadomo kto. Trzech.

Przez cały dzień rozprawiano z podnieceniem o zabójstwie; jedni potępiali je, inni znów cieszyli się i aprobowali. Ale za wszystkimi słowami, jakie padały, wyczuwało się lekki dreszcz wielkiego strachu: coś olbrzymiego i druzgocącego przeleciało jak cyklon nad życiem i spoza jego nudnych drobiazgów, samowarów, posłań i kołaczy wyjrzało z mgły groźne oblicze

Prawa-Mściciela,

Gimnazjalistka płakała.

Sierpień 1905 r.